

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 133.

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 12 kwietnia 1862 r.

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:*  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.  
Koperta oddzielna 2rsr. rocznie.

**TOM V.**

## TREŚĆ NUMERU.

Wyobrażenie Zbawiciela O. Sosnowskiego (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Obrazy krakowskie (z dwoma drzeworytami) ciąg dalszy. — Pomniki Jana III i Michała Korybuta w katedrze krakowskiej (z drzeworytem). — Dębno, wieś z zakładem wodoleczącym (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Franciszek Morawski (dokończenie). — Oda do przyrody (poetyza). — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Poranek (poetyza). — Rozmaitości.

## WYOBRAŻENIE ZBAWICIELA,

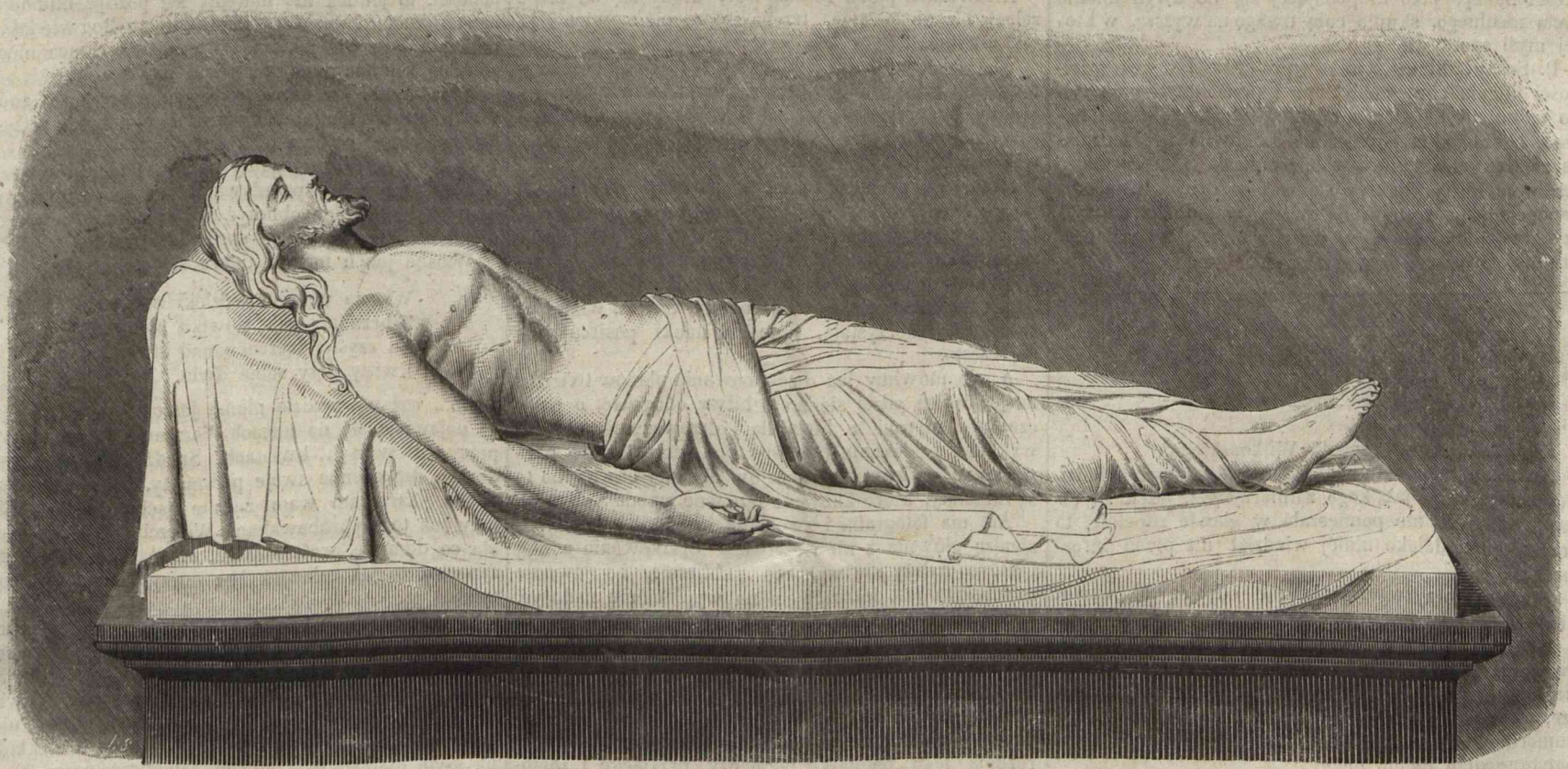
T. O. SOSNOWSKIEGO.

Chrystus złożony w grobie, rzeźba naturalnej wiel-

widocznie ślady potęgi ducha w czynność wprowadzonego.

Chrystus leży w grobie—opadły ręce co lud błogostawiły, opadła głowa co myślą swoją świat cały dźwignęła; a jednak ból, przerażenie, ściskające na ten widok serce widza, ustępują za bliższym wpatrzeniem się kojącemu uczuciu, uczuciu nadziei że za tą śmiercią jest zmartwychwstanie, za tym grobem nowy świat i nowe życie. A mówi ci to wyraźnie ta postać, jakby zewnętrznie tylko śmiercią dotknięta. Zda się że za chwilę ta wyniosła pierś odetchnie i z ust

na, w kędziarach brody i wąsów, nie mielibyśmy nic do zarzucenia; jeżeli zaś przez wykonanie rozumieć będziemy zupełną odpowiedniość formy i treści, a nadewszystko, jeżeli ogarniając całość życia Chrystusowego, wymagania swoje na wysokości ideału chrześcijańskiego postawimy,—znajdziemy jeżeli nie w ogólnym oddaniu figury, bez zaprzeczenia wzniosłym, to w szczegółach, a mianowicie w obliczu, pewien niedostatek. Artysta, porwany prądem swego czasu, wszedł na ogólne stanowisko dzisiejszej sztuki rzeźbiarskiej i dał się pociągnąć ku pochłaniającemu



CHRYSZTUS PAN O. Sosnowskiego. (Rysował na drzewie Tegazo).

kości z marmuru, wykonana przez T. O. Sosnowskiego, której rysunek tu załączamy, ofiarowana przed kilką laty jako dar pobożny do kościoła ks. karmelitów, jest bez zaprzeczenia najznakomitszym nietylko z nadesłanych tu dzieł tego artysty, ale i z wykonanych w tych czasach przez rzeźbiarzy krajowych.

Niema wątpliwości iż p. Sosnowski odebrał z góry namaszczenie na artystę i dar ten przyrodzony wsparł pracą, sumiennym studjowaniem antyków i głęboką myślą religijną; ztąd też dzieło jego nosi na sobie

roztwartych wyjdzie upragnione światu błogosławieństwo.

Myśl ta, przytomna w duszy artysty, odbiła się w całości utworu i sama jedna, bez względu nawet na wykonanie, zapewnia mu znakomite miejsce między dziełami religijnej sztuki. Czyżby jednak wykonanie nie miało być odpowiedniemi myślami? Jeżeli pod wykonaniem rozumiemy tylko będziemy rysunek, modelowanie, prawdę natury, tedy, prócz braku lekkości w pierścieniach włosów spływających na ramio-

nas obecnie idealowi sztuki greckiej; ztąd brak równowagi między myślą a jej objawieniem, ztąd typ grecki w obliczu przeważnie zachowany, ztąd w wyrazie coś z spokoju niczym niezmaconego bogów olimpijskich, brak śladów walki i tryumfu nieznanego starożytnym, a tak zrosłego z myślą chrześcijańską. Chrystus Sosnowskiego nie jest jednak wskrós przesiąknięty duchem starożytnym, jak się to daje spostrzegać w innych znakomitych utworach rzeźby tegoczesnej; spokojem zbliżony do wyrazu posągów gre-

kich—odróżnia się od nich technieniem nadziei wiekuistej wiejącem z całości, a całkiem nieznanem po-gańskiemu światu; z powodu wszakże niedosyć roz-winiętego pierwiastku indywidualnego, nie stawia nam przed oczy uosobionego w Chrystusie ideału Bo-ga-człowieka. P. Sosnowski stanął w pośrodku dwóch idei, nie śmiać stanowczo przechylić się na stronę idei chrześcijańskiej, zdaniem wielu niepodającej się do przedstawienia w rzeźbie, i jakkolwiek dzieło zy-pchało na tém pod względem piękności formalnej, stra-ciło na dramatyczności i wyrazie duchowym, o któ-ry głównie idzie w sztuce religijnej.

Spokój zupełny, niezakłócony cierpieniem, nieświadomy walki, jakkolwiek przystaje do wyobrażenia boskości Chrystusa, nie stawiając jednak jasno przed oczy nasze podwójnej natury Syna Bożego, pozostawia w uczuciu brak, którego piękność formalna, choćby najwyżej posunięta, zapelnąć dla znawcy nie zdo-ła. Rzeźba napotyka w przedstawieniu tego rodzaju przedmiotów wielkie trudności, płynące z idei samej i jak na chwilę obecną może niemożliwe do pokona-nia. Ideał boskości w Chrystusie, mający być przed-stawionym w rzeźbie, polega na harmonii zupełnej spokoju i doskonałości bezwzględnej; walka zaś psu-je tę harmonię, wprowadza przeciwieństwo i wtrąca ideał w rostrój. Artysta więc, wprowadzając walkę na łono ideału, musi z jednej strony starać się zachowa-ć swobodną piękność, z drugiej rozwinąć przeci-wieństwo i walkę tak, ażeby harmonia ukazała się jako ostateczne rozwiązanie, uwydatniając tym sposo-bem tryumf boskości. Zbytne wpatwienie się w ideał starożytny, które zwróciło rzeźbę chrześcijańską z dro-gi wytkniętej przez Michała Anioła, przewaga gre-czynny, pod którą zstąpiła do naśladownictwa—do-tknęła zlekka i p. Sosnowskiego, nie zdoławszy jed-nak odjąć dziełu jego cechy twórczości samodzielnej, tyle rzadkiej w obecnym czasie.

Techniczna część, tak ważna w sztuce plastycznej, wykonana tu jest z wysokim pojęciem form ciała ludzkiego i rzadką dokładnością; znać że p. Sosnow-ski zna dobrze naukę anatomii. Prawda tu jednak nie rozwija się kosztem piękności; pod miękką po-włoką ciała patrzący uczuwa raczej niż widzi każdy muskuł i właściwe jego umieszczenie, przez co dopelnionym jest najwyższy warunek rzeźby w dziełach idealnych. Spowicie nóg miękką draperyą, jakkolwiek niezgodne z pojęciem estetycznym Greków, posługuje tu doskonale nie tylko tradycy historycznej, ale i my-śli chrześcijańskiej; przez zobojętnienie bowiem niższej części figury, jako niepodającej się do uwydatnienia życia idealnego, skupia całą uwagę na wyższą, w któ-rej myśl zoczywa.

P. Sosnowski nie zdołał wprawdzie osiągnąć wiel-kości ideału chrześcijańskiego i przedstawił nam tyl-ko jedną myśl, jedną z tajemnic wcielenia Syna Bo-żego, oddał jedną chwilę, ale to chwila poprzedzają-ca zmartwychwstanie—więc wzniosła i uroczysta, a każdy co bliżej wpatrzy się w jego dzieło, wychodzi uspokojony, z rozbudzoną wiarą w jedną z najwyż-szych tajemnic religii, w jedno z największych dobro-dziejstw Stwórcy: w **zmartwychwstanie**.

## Kronika tygodniowa.

Pamiętacie ś. p. Augusta Wilkońskiego?

Owóż on miał dziwny sposób informowania ludzi. Powiadam wam jak kogo zainformował, jeżeli się temu biedakowi nie pomieszało w głowie zupełnie, to przynajmniej daleko mniej wiedział niż przed informacją.

Od tego przyzwyczajenia nie odstępował, nawet kiedy szło o jego własny interes.

Miał na przykład posłać gdzie swojego służącego, owego historycznego służącego, którego wszyscy zna-cie, a który kiedy pan August był w dobrym humo-rze, nazywał się *kłapouch*, w przypadku zaś złego humoru nieocenionego ramotkarza, otrzymywał anty-patyczne dlań miano *lichwiarza*.

Więc tedy wypadł jakiś ważny a pilny interes.

Pan August wolał:

— Kłapouch!

— Słucham pana, odzywał się głos, modyfikowa-ny zwykle przez jaki kawał chleba albo pieczeni, bo kłapouch jadł przez cały dzień, a przez całą noc na głód się skarżył.

— Czy wiesz gdzie jest ulica Czerniakowska?

— Nie wiem panie.

— A wiesz gdzie my teraz mieszkamy?

— Wiem panie, na ulicy Nowo-Senatorskiej, wprost teatru.

— No, to dobrze że choć to wiesz. Pójdiesz tedy przez pocztę na Krakowskie przedmieście, potem No-wym światem, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Z Nowego światu skręcisz w lewo na drogę Jerolimską, wielką i prostą ulicę, bez żadnego pra-wie domu po bokach, a wysadzoną drzewami i spu-szczającą się ku Wiśle. Tylko nie uton w Wiśle, kła-pouchu.

— Nie utonę panie.

— No, to dobrze, wiem że nie utoniesz, bo i tak masz wisić, lichwiarzu. A nie jedź-że tak ciągle, bo jak zatkaś gębę, nie będziesz mnie mógł słuchać.— Spuścisz się tedy ku Wiśle ulicą Jerolimską, ale nie dojdiesz do Wisły, bo na prawo znajduje się ulica Smólna. Tylko uważaj dobrze, bo mam cię po-słać z listem.

— Uważam panie.

— Skręcisz więc na prawo ulicą Smólną, prze-jdziesz koło wielkiej fabryki żelaznej, a za tą fabryką znów skręcisz na lewo, i zobaczysz przed sobą ulicę brudną, błotnistą, złę zabrukowaną i krzywą jak nos Fajgenblata, to będzie ulica Czerniakowska.

— Ulica Czerniakowska panie.

— Ale pamiętasz dobrze co ci powiedziałem?

— Pamiętam.

— Jak .na tę ulicę natrafisz, to już pójdiesz nią daleko, daleko, tak jak ona prowadzi, aż dojdiesz do pustych placów, a po za nimi będą z jednej stro-ny koszary, a z drugiej Wisła. Tam na prawo będzie droga prowadząca do Łazienek, przy niej ogrody, a między ogrodami widać będzie pałacyk. Czy rozu-miesz mnie?

— Rozumiem.

— I trafisz już?

— Trafie.

— Otóż nie tam pójdiesz, tylko na Naléwki, gdzie masz oddać list do Rubinowicza, a ponieważ nie wiem gdzie mieszka, to go poszukasz.

Domyślacie się że po takiej informacji biednemu służącemu niezle musiało zamącić się w głowie.

Otóż ja, zaczynając kronikę, znajduję się nieraz w po-łożeniu informowanych przez Wilkońskiego. Chciał-bym iść ulicą Czerniakowską, a pomimowolnie udaje się drogą ku Naléwkom.

Tak i dzisiaj mi się zdarzyło. Radbym pomówić o wiadomościach bieżących, a tu, chcąc nie chcąc, nasuwa mi się pod pióro sprawa o fotografii, która nie jest wcale nową, ani nawet bieżącą wiadomością.

Ale trudno pióru rozkazywać, kiedy się od niego zależy i z niego żyje, trzeba iść za nim; więc i ja tak uczynię.

Niejednokrotnie już oddaliśmy sprawiedliwość uzy-teczności sztuki fotograficznej. Przekonani nawet je-steśmy, że przyszłość zachowuje dla fotografii zasto-sowania, jakich dzisiaj zaledwie słabe możemy mieć wskazówki.

I tak: za granicą rozsyłane portrety fotograficzne złoczyńców, posłużyły już niejednokrotnie do ich wy-krycia. Bankrutowi wiozącemu z sobą pochodzące z oszustwa pieniądze, trudno uciec, bo tuż za nim goni konterfekt jego, w wiernym odbiciu fotograficz-nym. Ziemiaństwo, astronomia nawet wiele już z fotografii korzystają, inne zaś nauki posilkują się nią często.

A nie mówimy już o zdejmowaniu planów twierdz, miejscowości gdzie się mają bitwy odbywać, o połą-czeniu fotografii z litografią i drzeworytnictwem, o wykonaniu dokładnej mapy dna morskiego, o pla-stycznym uwiecznieniu dziejów obecnej chwili, bo to są rezultaty, które każdemu zapewne wpadają na myśl.

Ale ma fotografia i swoje niedogodności, które po-chodzą głównie z niewłaściwego użytkowania z niej i które należy się wykazać publicznie, bo jawność najlepszym jest lekarstwem na wyplenienie nadużyć.

Wiadomo każdemu że bardzo rozpowszechnione są obecnie modne bilety wizytowe, to jest portrety foto-graficzne w małych formatach, sprzedawane po bar-dzo przystępnej cenie, które ci wszyscy co pragną widzieć rysy swoje uwiecznione na papierze, dla zbu-dowania (w moralnym znaczeniu) przyszłych pokoleń, rozdają jako pamiątkę pomiędzy przyjaciół i znajomych.

Wszystko to dobre i wolno jest każdemu rozrzą-dzać jak chce swoją osobą i podobizną z niej zdjętą; ale wiadomo zapewne wszystkim, że fotograf, zrobi-wszy jakikolwiek obraz na szkle i zachowawszy je, mo-że z niego odbić ile tylko zechce portretów, do nie-skończoności prawie, a wszystkie będą równie wierne jak i pierwszy.

Otóż w tém właśnie leży niedogodność o której wspominaliśmy.

Ludzie hołdujący modzie zaczęli sobie tworzyć al-bumy fotograficzne. Tych albumów tyle się natwo-

rzyło, że obecnie w każdym prawie domu znajduje się najmniej jedno. Często się zdarza, że rodzina, przyjaciele i znajomi nie starczą na zapelnienie tych albumów; nawet prawdę powiedziawszy wielu znaj-duje się takich, co mniej dbają o bliższe stosunki, i chcieliby się dalszemi a pokąźniejszymi za to poszczy-cić. Przyłączyła się do tego i mania znakomitości róż-nego rodzaju, albo tych przynajmniej, którzy uchodzą za znakomitości. A bardzo różnorodne są te rozliczne sławy, co w albumach fotograficznych znajdują po-mieszczenie.

Nieraz przystrojona w brystolowe ramy baletnicz-ka, w gazowej sukni, uśmiecha się zalotnie do nie-boszczyka Cavoura, rozmyślającego poważnie nad od-zyskaniem Wenecyi, Garibaldi podaje rękę jakiemu wslawionemu akrobacie z cyrku Frankonięgo, a ce-sarzowa Eugenia przygląda się wypłowiałej urodzie lwa miejskiego, wslawionego z łatwych zwycięstw. Widzieliśmy tam Mickiewicza obok Rozbickiego i Zy-gmunta Kraszińskiego, podającego rękę żokejowi wslawionemu na wysycigach.

Ale mniejsza już o to. Życie publiczne ma swoje przywileje i niedogodności. Kto w jakimkolwiekbyż względzie stał się człowiekiem znanym ogółowi, tego portrety mogą być publicznie sprzedawane, taki już zwyczaj, który w prawo przeszedł.

Ale pytam się ciebie, czytelniku, czyby ci przyje-mnie było, gdybyś portrety swojej żony, siostry, cór-ki, robione wyłącznie dla ciebie, jako podarek uprzy-tomniący ci miłą sercu osobę, widział w ręku pierw-szego lepszego niedorostka, który zechce się pochwa-lić poufałami kobięcimi znajomościami?..

A jednak tak się dzieje.

Kto tylko zechce, może sobie zebrać obecnie cały harem znajomych i nieznanomych piękności i niepię-kności, po dwa złote sztuka. Panowie właściciele za-kładów, po większej części przynajmniej, nie robią żadnej trudności w sprzedaży portretów osób fotogra-fujących się u nich; każdy kto przychodzi, ma do nich prawo. Wynikają z tego nieraz smutne rzeczywiście zbliżenia. Najczcigodniejsze, najszanowniejsze damy, pomieszane bywają często z istotami, z którymi samo już zbliżenie staje się dla nich zakąłem. Widzieliśmy nieraz taki bigos fotograficzny i przypatrywaliśmy się ze zgrozą uśmiechowi z jakim wyliczono nam mnie-mane zwycięstwa, w tak różnych odniesione sferach.

Jakkolwiek rozdawanie portretów utraciło obecnie na znaczeniu, jakkolwiek wiemy doskonale jakim spo-sobem zbierają się te galerie blizkich i dalekich zna-jomości, to jednak nie możemy się pozbyć mimowol-nego uczucia, że takie walanie się po Bóg wie jakich rękach i Bóg wie jakim towarzystwie, rzuca nieraz cień na reputacyą najzacniejszej nawet osoby.

A czy mało jest łatwowierucha, a czy mało znów takich, którzy trudni do uwierzenia w dobre, a wszyst-kiemu co złe uwierzą od razu?

Dlatego to przestrzegamy panów fotografów, żeby byli uważniejsi w sprzedawaniu portretów im powie-rzanych, bo trudno obliczyć skutki jakie rozpowszech-nienie się tego zwyczaju spowodzić może.

Wiosna już u nas na dobre się rozpoczęła.

Wiosna wróciła wdzięki naturze,  
Zabrzniały gaje słowika pieniem,  
Na czystej łączce ponad strumieniem  
Kwitły przy sobie dwie róże....

No... róż wprawdzie niema jeszcze, ale za to fijoł-ki pojawiają się na ulicach Warszawy. Tylko dziwny przewrót w tych kwiatach. Snadź musiały utracić dawne drogocenne swoje przymioty, bo nie mają za-pachu. Zaręczam wam że nie pachną wcale, kilka razy już to wypróbowałem. Wierzcie, nie wierzcie, ale co do mnie, wolę nawet... rzodkiewkę. Kwiat bez zapachu, to jak człowiek bez duszy, pozostaje barwa tylko.

Barwa... fatalny wyraz, nie lubię go, bo mi zaraz liberyą przypomina, a raczej w témże samém bierze się znaczeniu. A czémże jest liberya, jeżeli nie za-bytkiem dawnego niewolnictwa? Doprawdy, niewiel-ka jest różnica pomiędzy liberyą dzisiejszą, a pier-ścieniami złotymi, które dawni baronowie nakładali na szyję niewolnikom swoim, jak obróżę psom, z wy-rytym na nich herbem i nazwiskiem pana. Dzisiaj herby noszą się tylko na nazwiskach, ale niemniej jest to dowodem jakiegoś upodlenia człowieka.

Ale dajmy temu pokój; przykro mówić o rzeczach którym zaradzić trudno. Wolę pogawędzić trochę o nadchodzących świętach wielkanocnych, bo wszak-że niedługo już czekać na nie. Już się kupuje mąka, cukier odmierza, bakalie przysposabiają. Gody dla was, gospodynie, które po dawnemu bierzecie się do święconego zwyczajem przodków, które nie porucza-cie płatnemu kucharzowi starania o uczczenie dni tych uroczystych.

Ale wy, matki i siostry nasze, wy, które w zachowaniu cnót domowych i strzeżeniu świętości ojczystej tradycji, powiniście być dla nas wzorem, nie zapominać że dziś biada częściej niż kiedykolwiek wyszczerza wychudłą i wybladłą twarz swoją w oknach chałup i poddaszów, że ubogim ludziom brak nieraz na chleb powszedni, a cóż dopiero na zastawę świąteczną stołu, chociażby najskromniejszym jadłem. Święta wielkanocne, to pamiątka zmartwychwstania w braterstwie, to wcielona wielka myśl utworzenia jednej rodziny z całej społeczności chrześcijańskiej. Bóg, który zasiada do stołu każdej bogobojnej rodziny, Bóg-człowiek, który z ludźmi dzielił się krwią swoją i ciałem, Bóg to sam żąda od was, żebyście częściej oddali ubogim. Spełnijcie więc wolę Zbawiciela, uświęćcie pamiątkę jego skonu i zmartwychwstania dokonaniem wielkiej myśli chrześcijańskiej. Niechaj tak stoły jak i serca wasze przystępne będą dla bliźnich, niechaj chleb ten świąteczny będzie nowym ogniwem łączącym dwa oddalone od siebie krańce społeczeństwa.

Ale pamiętajcie również, że prawdziwe miłosierdzie nie jest suknią modną a świetną, w którą się stroimy dla olśnienia ludzi i przypodobania się im. Dobry uczynek traci połowę swojej wartości, jeżeli szukamy za niego nagrody w pochwałach świata. Co wam po rozgłosie, jeśli z serca czynicie? co nam po waszej serdeczności, jeżeli tylko rozgłosu pragniecie za nią? Nic śmieszniejszego, jak ogłaszanie po gazetach uczynków dobroczynnych, z etykietą imienia i nazwiska dobrze czyniących. Co to obchodzi kogo, że pani ta a ta kwestuje w tym a tym kościele? Bardzo pięknie że się kwesty podjęła, ale pobożni biednym dają, a nie jej. Ten co ogłasza swoje nazwisko pod kilkunastu złotych, które przeznaczył na jakibądź dobry cel, kazał sobie już sownie zapłacić za tę małą ofiarę. To spekulacja jak inna, spekulacja tym naganniejsza, że na nędzę robiona. Powiedziano jest żeby prawa ręka nie wiedziała co lewa daje, a gazeta o kilku tysiącach prenumeratorów, to gorzej niż prawa ręka, to owe głośno-brzmiające trąby, tak dosadnie przez Wirgiliusza opisane.

Ksiądz Beaudoin, który tyle czynił dla biednych, ukrywał się za skromnym mianem prawdziwie chrześcijańskiego zakładu; a my dzisiaj pragnęlibyśmy jawności dla najdrobniejszych uczynków naszych. Potomność będzie się pytała z zadziwieniem, jakim sposobem taka biada mogła się w kraju szerzyć, kiedy tylu dobroczynnych ludzi przekazało jej ku czci i wdzięczności swe nazwiska?

I pocóż litość ma być opatrzona patentem, etykietowana stemplem i stwierdzona urzędowym w gazecie artykułem? Mnóstwo jest u nas pięknych i bogatych pań, zbierających składki i opiekujących się jawnie i głośno ubóstwem. Otóż niedawno jednej z nich, zbierającej jałmużnę, zastąpił żebrak drogę, błagając o grosz. Odmówiła mu opryskliwie, a jednak ów żebrak, był to biedny robotnik, który wyszedł z piłą na zarobek, cały dzień chodził i nie znalazł roboty, a żona i dzieci w domu umierały z głodu; szedł więc biędak i płakał. A działo się to w czasie zebrania mostu, więc drzewa na targu nie było. Ów człowiek, ów starzec, bo liczył lat sześćdziesiąt kilka, zasługiwał na wsparcie i otrzymał je, ale nie z rąk pięknej kwestarki. Ona przeszła nieczuła, bo nie miała czasu zatrzymać się nad biadą nieurzędową; instytucja do której należała straciłaby na tem.

To mi przypomina myśl dobrą, którą rzuca jeden z moich korespondentów. Cztery razy do roku, pisze on, odbywają się wielkie kilkoklassowe ciągnięcia (dwa loteryi klassycznej, dwa loteryi szymanowskiej). Ogromne summy są do wygrania, prosta więc rzecz że ktoś je wygrać musi. Otóż dlaczegoż tacy szczęśliwcy, a jest ich wielu, nie mieliby złożyć summy pewnej na ulżenie niedoli bliźnich? Pośpieszam dodać, że nie byłoby w tem chępliwości, gdyby jeden i drugi ogłosił w Kuryerze albo w innem jakim piśmie, że z wygranej swojej loteryjnej pewien procent dla biednych ustępuje, bo to zachęciłoby innych do podobnego postąpienia. Wygrane stanowią miliony; weźmy tylko jeden procent z nich, a będziemy mieli tysiące. Podług mnie jest to jedyny nawet sposób uszlachetnienia wygranej loteryjnej, która, jak każdy zysk nie z pracy pochodzący, zawsze dla nas przyćmionem lśni światłem. Zapewne nikt nie winien że wygrał, ale zdaje nam się że zawsze lepiej smakować musi zarobek z własnego trudu.

A teraz przytoczę wam jeszcze dwa fakta dość wymowne.

Ksiądz S., proboszcz parafii K. w powiecie ostrołęckim, jest wzorowym pod każdym względem kapłanem. Jego starania położyły tamę pijanństwu i próżniactwu Kurpiów, a ugruntowały między niemi zarody cnót, wstrzemięźliwości i pracy. Tenże kapłan,

przy pomocy swojego wikarego, szerzy oświatę pomiędzy Kurpiami, przez urządzenie szkółki i czytelnicy wiejskiej, gdzie Kmiotek i Czytelnia niedzielna wielkie zajęcia obudzają. Staraniem tegoż pasterza świeżo odnowiony został ze składek parafian kościół miejscowy, a każdy w nim szczegółowi świadczy, że nie szczędzono kosztów i zachodu około tej pracy dla chwały Bożej podjętej.

Niedaleko ztamtąd jest proboszczem inny ksiądz, utrzymujący dwóch wikarych, zarządzający obszerniejszą i daleko zamożniejszą od poprzedniej parafią. I tu mieszkają również Kurpie, lecz wielka zachodzi różnica tak w kościele jak i za kościołem. Świątynia pańska opuszczona, w nieładzie, lud nie ma czytelnicy, ani szkółki, bo księżom brak widać czasu do zajmowania się tem wszystkiem. Co gorsza, parafianie z własnego popędu złożyli fundusz na restauracyę kościoła, lecz nie się nie robi w tym celu, a nawet proboszcz nie wie wiele i kto składkę uiszczył.

Jako dopełnienie nowin literackich w przeszłotygodniowej kronice podanych dodajemy, że nakładem księgarza Lewińskiego wyszedł pierwszy zeszyt wydawnictwa ludowego pod tytułem: Czytanie dla szkółek i ochron wiejskich. Wydawnictwem tem zajmuje się K. Wł. Wojcicki i zamierza wydać książeczek takich od 30 do 50. Zeszyt ten zawiera przystępnie dla ludu napisaną historią króla Dawida, wraz z jego psalmami. Dalej pójdą zyciorysy Karpńskiego, Antoniewicza, Klonowicza, opisy kraju polskiego, wyjątki z poezyj dla ludu, zyciorysy świętych i patronów polskich, opisy obrzędów wiejskich, słowem wszystko co może wpłynąć na rozwinięcie myśli i serca wiejskiej młodzieży.

Na zakończenie parę drobnych zdarzeń z bruku warszawskiego.

Jeden ze znajomych naszych, przechodząc w tych dniach zraną Nowym Światem, spotkał wiejską dziewczynę czytającą Kmiotka. Zdawała się całkiem w piśmku zatopiona, czasem kiwała głową, a czasem uśmiechała się do siebie. Widać zajmowały ją bardzo rzeczy tam zawarte.

Na stacyi kolei żelaznej warszawsko-bydgoskiej, której część otwarta dla przejazdu jest, nawiasem mówiąc, urządzona wzorowo pod względem porządku i dogodności publicznej, spotkaliśmy obywatela wyznania mojżeszowego, który szedł do kasy po bilet. Nie on sam płacił, więc miał wolny wybór: kupił bilet do 3ej klasy. Zapytany dlaczego nie chciał w drugiej jechać, kiedy go to nie nie kosztowało, odpowiedział:

— Gdyby mi nie odebrano biletu i gdybym przybywszy do domu mógł się z dowodem w rękę pochwalić, że Szmul Żelazny z miasta Żychlina jeździ drugą klasą, tobym i kupił droższy bilet. Ale kiedy czy ten, czy ten, trzeba oddać, to już mi wszystko jedno którą klasą jadę.

Ów Szmul Żelazny wytłumaczył tu jasno to, co wielu niezależnych paniczów robi na oslep, bez zdania sobie z tego sprawy. Nie idzie tu koniecznie o kolej żelazną.

## OBRAZY KRAKOWSKIE.

(Dalszy ciąg.)

### Świątniczanie.

O pół mili za Wisłą leży na wyniosłym wzgórzu wieś *Świątniki*, licząca przeszło tysiąc mieszkańców. Ludność tej wsi nie stanowi osobnego plemienia, ani okoliczne wioski nie liczą się do Świątniczania i ich nazwiska nie noszą, wszelako sposób ich życia i pewne przywileje nadają im cechę odrębności od innych włościan, którzy już prawie zapomnieli że przed wiekiem należeli do województwa krakowskiego.

Wieś Świątniki przed osmiuset laty była własnością Stanisława Szczepanowskiego, biskupa krakowskiego, który poniósłszy śmierć męczeńską, patronuje po dziś dzień królestwu. Po r. 1772 usunięto z pod opieki św. Stanisława małopolskie ziemie przeszłe pod panowanie austriackie, skasowano uroczyste w dniu 8 maja święto, a nadano Galicyi za patrona św. Michała archaniola i nakazano obchodzić solennie dzień 29 września. Włościanie, mieszczenie, a nawet i szlachta w całej tej prowincyi zapomniła już dziś o uroczystości św. Stanisława i przyjęła nowego patrona; Świątniczanie przecież, silnie z przeszłością związani, zachowali ją w sercach swoich i święcą dzień 8 maja.

Dziwnie też w tym dniu cała okolica wygląda: dookoła ludzie pracują w polu, huk młot kowala w kuźni, gęste rozsypując iskry, skrzypią na gościńcu wozy wyładowane, rozlegają się pieśni okopujących zie-

mniaki; gdy tymczasem w granicy gruntów świątnickich uroczysta cisza panuje i tylko przerywa ją odgłos dzwonów, głoszący odprawiające się nabożeństwo.

Świątniczanie, zgromadzeni w kościele, śpiewają pieśni z czasów Zygmuntońskich i modlą się pobożnie w świątyni, bo obchodzą podwójną pamiątkę: święto męczennika patrona Polski i pamiątkę swego niegdysz dziedzica.

Ubiór włościan świątnickich niewiele się różni od Ogrodników, a jeszcze podobniejszy do stroju mieszkańców z okolic Mogiły, daleko zaś odbiega od ubioru okolicznych włościan, tak jako i życie moralne i wstrzemięźliwość wybitnie odróżniają ich od tych ostatnich. Noszą kapoty długie granatowe, faldziste, i tak mężczyźni jak kobiety wyglądają raczej na mieszczan małego miasteczka, jak na włościan. Obyczaje też tu gładsze, gościnność większa i oświata daleko wyższa aniżeli w całym cyrkułe czyli okręgu do którego należą. O ile włościanie galicyjscy nie lubią Krakowa i pomimo przyłączenia go do państwa austriackiego, zawsze za jakieś zagraniczne go miasto uważają, to przeciwnie Świątniczanie duszą i sercem zrosli się z tym starożytnym grodem, a jego radości i smutki, boleści i nadzieje silnie podzielać, zawsze widzą w nim to, czem był dla nich za dawnych czasów.

Zatrudnienie ich w dniu powszednie całkiem jest inne jak okolicznych włościan. Gdy wnijdiesz w wieś, słychać z każdego domu huk młotów i skrzyp piłników. Wszyscy bowiem od niepamiętnych czasów trudnią się ślusarstwem. Niegdysz we wsi tej kuto zbroje i oręż, a płatnerze świątnicki slynęli w całej tej części dawnej Polski; dziś rzemiosło to nieznanie nawet, bo od dawnych czasów używanie zbroi ustało.

Kiedy zasiądziesz przy warstacie Świątniczania i wdasz się z nim w pogadankę o dawnych czasach, zadziwisz się jego historycznymi wiadomościami. Wylicza on zwykle z wielką biegłością panujących monarchów, opowiada szczegóły o życiu biskupów krakowskich, o wielu wojownikach i zdarzeniach historycznych dawnej stolicy.

Gdyby wędrowiec z odległej części kraju znalazł się niespodzianie pomiędzy niemi i usłyszał te opowiadania dokładne, nie mógłby sobie zdać sprawy, z kąd wieści tak szczegółowe przedarły się pod te strzechy wieśniacze, kto był nauczycielem tych historyków w sukmanie. Kilka słów objaśni tę zagadkę.

Świątniczanie od niepamiętnych czasów mają przywilej strzeżenia katedry krakowskiej. Kto zwiadał świątynię wawelską, zauważał tam pewno przewodników oprowadzających po niej, w długich granatowych sukniach, z pelerynką obszytą karmazynową oblamką. Oni to wędrowców zwiadających ten pomnik przeszłości obznajmują z każdym nagrobkiem, z każdym napisem; wiodą do kaplic, grobowców i skarbcu, i o wszystkiem umieją wiele zajmujących rzeczy opowiedzieć. Oni znają dokładnie losy katedry, wymienia ci wszystkich fundatorów i dobrodziejów i wskażą prochy każdego wsławionego rodaka, co tu pod marmurami spoczywa.

Co miesiąc ośmiu włościan z kolei udaje się na służbę; jeżeli między niemi znajduje się który z młodszych, co jeszcze jej nie pełnił, ucza go wszystkiego dokładnie, ażeby oprowadzając później gości, nie zrobił wstydu swoim nauczycielom.

Przywilej ten jest im bardzo szacownym, a od ściślej służby jedynie ciężka odrywa ich niemoc. Po upływie miesiąca przychodzą inni zmienić swych poprzedników, a ci przy warsztacie pracując, oczekują rychło znów kolej na nich przyjdzie.

Wyrobienie klódek, sztabek z hakami do zawieszania sukien (szaragów), oraz innych drobniejszych wyrobów ślusarskich, odbywa się tu na wielką skalę, jeżeli zważymy że kilkuset robotników przy warsztatach pracuje. Klódkę te jedne zadziwiają wielkością, inne sztuczną wewnętrzną maszyneryą, inne znów szczegółnym pomysłem. Są tu bowiem niektóre w kształcie pierścienia, inne naśladują klucze lub medaliony, a rozchodzą się daleko, gdyż hurtownicy, zakupując je od ślusarzy, rozsyłają w odległe strony, oraz prowadzą niemi handel z Prusami i królestwem polskiem.

Sami niekiedy Świątniczanie zakupują od sąsiadów znaczne zapasy klódek i innych narzędzi, a połączywszy je z wyrobami swęj pracy, puszczają się z niemi w dalekie strony na sprzedaż. Roboty polne nie mają tu tyle ważności co po innych wsiach, gdyż ślusarka trzyma pierwszeństwo; sieją zaś i sadzą na swoje prawie wyłącznie potrzeby.

Ślusarstwo opłaca im się niezłe i po większej części mieszkają w Świątnikach zamożni gospodarze, co częstokroć synów wysyłają do szkół, a córki do klasztorów krakowskich, dla pobierania nauk. Ale jak też używają zebranych dostatków? Oto jeden przykład.

We wsi Świątnikach istniał starożytny kościółek drewniany, za mały aby objął liczną ich ludność i chyłący się widocznie do upadku. Wstyd ogarniał mieszkańców, że dziedziczna wieś świętego patrona nie ma odpowiedniej świątyni. Zeszli się tedy starym obyczajem na wiec громадзкі і radzili jakby tę potrzebę zaspokoić. Ofiary pojedynczych osób nie wystarczyłyby na wystawienie domu Bożego, od rządu wsparcia spodziewać się nie mogli. Uradzili więc nałożyć na siebie dobrowolny a nieustanny podatek. Szła opłata do skarbnicy składkowej, od każdej wyrobionej kłódki, stosownie do jej wielkości. Wielkie, płacone po kilka złotych, ulegały opłacie dziesięciu groszy, od mniejszych sześć, cztery, dwa, wreszcie grosz jeden. Izbrały się te grosze bez przestanku przez lat trzydzieści, aż kwestarze zliczyli je i uznali że fundusz wystarczy już na budowę. Wówczas cała wieś ofiarowała swoje pomoc. Gospodarze wozili kamień, cegłę i wapno swemi końmi, i pod sterem majstrów kopali fundamenta, murowali ściany, obrabiali drzewo na dachy i wiązania. Kobiety i drobna dziatwa obojg pći nosiły wodę, piasek, podawały cegłę; słowem wszystko tu pracowało chętnie i pilnie, bo ożywiała ich wzniosła myśl zbudowania świątyni panu.

I po kilku latach fabryki stanął kościół, nie zwyczajny kościółek, ale obszerna i piękna świątynia w stylu włoskim, z kopułą sklepioną, strzelającą w niebo dwiema wyniosłemi wieżami, a po ich szczytach wybiegły do Boga modlitwy tych maluczkich pracowników w winnicy Pańskiej, którzy ujmując sobie część zarobku, z żelazną wytrwałością wzniesli świątynię Bogu, imieniem swego patrona. Poświęcono ją w lecie 1858 r.

Zbudowanie kościoła w Świątnikach, z takim poświęceniem dokonane, nietylko rzuca piękne światło na pracowitość i stronę moralną włościan tutejszych, ale daje przykład wymowny, czego są w stanie dokazać nasi włościanie, jeżeli te serca gorące oświeci promień większych nieco wiadomości, a w duszę padnie nasienie myśli szlachetnej, prowadzącej do pięknego celu. Jedna wieś, niewsparta niczyją pomocą, wola i siłą wytrwania dokonała tego, na co dziś cały kraj usiłuje się zdobyć składkami na kościół grzybowski.

Cześć ziomek należy się słusznie tej cichej pracy włościan świątnickich, którzy nie dla rozgłosu imienia swego, nie dla chluby, ale dla chwały Stwórcy umieli tego dzieła dokonać.

### Prądniczanie.

Na północ Krakowa, ponad strumieniem Prądnika płynącym z ojcowskiej doliny, leżą wieś od tej rzeczki noszące nazwę Prądników, a lubo rozpadają się na kilka części, jakoby osobne wioski stanowiących, przecież dwa tylko głównie noszą osobne nazwiska: Prądnika białego i czerwonego, inne zaś liczą się do tych dwóch.

Pierwsza z tych wsi, bliżej miasta położona, była dawniej ulubionym miejscem przechadzek Krakowian; przed trzydziestu laty dwa ogródki: Pociieszka i Rozrywka, wabiły mnóstwo gości na sławne wtedy piwo, warzone przez właściciela ówczesnego Pacaka, z kąd nawet poszła śpiewka:

Żyj Pociieszko! żyj Rozrywko!  
Wiwat Pacakowskie piwko!

Tędy idzie gościniec do królestwa polskiego na Kielce, który do czasu otworzenia kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej główną był arterią komunikacyjną z Krakowem. Tu odbywały się odprowadziny i pożegnania, kiedy to jeszcze jeżdżono własnymi

końmi lub najętym furmanem, a jazda ekstrapocztą i dyliżansem (jak wówczas mówiono) liczyła się do zbytków. Więc też i mieszkańcy Prądnika białego, trudniąc się głównie furmanką, stali wybornie, mieli po kilkanaście koni, po parę bryk frachtowych i bryczek podróźnych i rozwolili wyroby krakowskie po całym królestwie polskim.



TRACZYK KRAKOWSKI. (Układ i rysunek Kostrzewskiego).

Świetne to były czasy dla Krakowa. Traktat z r. 1815, uczyniwszy go miastem wolnym, niepodległym i ściśle neutralnym, zapewnił mu przywilej zwożenia z całego świata towarów bez opłaty celnej. Do jakiej tanioci dochodziły tu płody kolonialne, dość powiedzieć że za funt cukru płacono groszy 15—18, za funt kawy po 24 gr., a za złp. 4 gr. 6 można już było dostać jej w wybornym gatunku. Również wy-

wiedeński nadał Krakowowi przywilej wywożenia wszelkich przedmiotów do królestwa polskiego, bez opłaty celnej. W innych punktach granice królestwa były dla towarów i wyrobów zagranicznych wysokim cłem obłożone; Kraków zas ostatniego nie płacił, a mając przytęm za bezcen płody surowe zagraniczne, mógł zaprowadzić u siebie liczne fabryki i wzrość w ogromne bogactwa. Wino nawet węgierskie, prowadzone na Kraków, połowę ledwie cła zwykłego płać.

Kommissya osobna na ten cel wyznaczona, poświadczała rzeczywistość wyrobienia przedmiotu w Krakowie, a tēm świadectwem opatrzony przedsiębiorca, najmniejszych nie doznawał trudności. Szły więc fortepiany, meble, obuwie, zegary do królestwa polskiego i przynosiły w zamian znaczne summy pieniędzy.

Oprócz tego handel potajemny towarami kolonialnymi prowadzili włościanie pograniczni z obu stron, a chociaż to handel zakazany i prawem potępiony, wszelako włościanie trudnili się nim na wielką skalę i nieraz paręset przemycarzy nocą ciemną lub burzliwą przekraczało granicę, bogacąc się tym pełnym przygód i niebezpieczeństw zawodem.

Pomijając ostatni sposób zarobkowania, którym się klasy oświeczone nie zajmowały, dziwić się wypadają, że przez lat dwadzieścia istnienia przywileju wolnego wywozu wyrobów krakowskich do królestwa polskiego, Kraków nie wzrósł jakby oczekiwać należało. Mogły tu powstać wielkie fabryki, a ludność powinna była dojść do znacznych rozmiarów. Jak wielkie mogły być zarobki, kiedy przedsiębiorca starozakonny parę trzewików, za którą płać szewcowi złp. 4 gr. 18, sprzedawał na jarmarkach królestwa po złp. 4. Wszystko sprzyjało handlowi, a żywność była tak tania, że za funt mięsa płacono gr. 4, chleb za złp. 4 ważył wedle taksy z r. 1824 funtów 23 i lutów 24; robotnik był nadzwyczaj tani. Nadto mocarstwa pograniczne aż do r. 1834 nie wzbraniały młodzieży polskiej uczęszczania do szkół i uniwersytetu krakowskiego i przepisy paszportowe były nadzwyczaj łagodne. Kto chciał przyjeżdżać do Krakowa i zaopatrywać się tanio we wszystkie towary, które kosztowały bez porównania drożej po za granicami wolnego okręgu.

Tymczasem brak ducha przemysłowego i spekulacyjnego sprawił, że lubo niektóre osoby zrobiły majątki, ogół miał się niezłe, ale do dostatków nie przyszedł. Wyrobami krakowskimi można było zarzucić królestwo polskie, lecz wszystko szło niedbale i niedoleźnie. Na dobitkę senat krakowski, który nigdy nie odznaczał się zbytkiem geniuszu i rozumu stanu, wszedł w zatargi o sól z rządem królestwa polskiego i tyle na nich zyskał, że przywilej wywozu wyrobów krakowskich bez opłaty celnej do królestwa, bezpowrotnie zniesiono.

Gdyby nie ta nie-szczęсна obojętność i bezwładność, gdybyśmy mieli choć trochę ducha spekulacyjnego, Kraków powinien był liczyć w chwili zniesienia wolnego miasta najmniej 400,000 mieszkańców i być najbogatszym ze wszystkich miast dawniej Polski.

Darują nam czytelnicy, że odstępując od przedmiotu, zatrzymaliśmy się nieco na skreśleniu stanu wolnego miasta, w którym było wistocie, jak mówią poeta:

„Już nigdzie lepiej, choć jedź i za morze.“

Ale przy sposobności nie mogliśmy tego pominąć, boć to rzeczy nie każdemu znane i mało jeszcze piórem dotknięte.

Gdyby przy terażniejszym ruchu konkursowym, gdzie za dzieła dramatyczne sypią się nagrody, znalazł się jaki zacny człowiek, coby wyznaczył premium za na-



ŚMIGUST. (Układ i rysunek Kostrzewskiego).

roby fabryk angielskich, francuzkich i niemieckich zalewały Kraków i sprzedawane były po cenach o jakich dziś nikt niema wyobrażenia.

Wszystko to jednak nie byłoby tak ważnym, bo ludność sto dwudziestu tysięczna miasta wraz z okręgiem liczącym 20 mil kwadratowych, nie mogła spotrzebować tej ogromnej masy towarów; lecz traktat

pisanie wszechstronnej historyi Krakowa, podczas trzydziestoletniego bytu wolnego miasta, wielkoby tym uczynił przysługę.

S. p. Hilary Meciszewski, człowiek wielkiego rozumu i wytwornego pióra, pierwsze już w tym względzie przelamał zapory opisaniem 26 lat bytu politycznego miasta Krakowa. Inne pióro także zajmowało się tym miastem i wyszło z pod niego dziełko. Pisano także pełne żółci *Listy o Krakowie*; wszelako pierwsze dzieło nie obejmuje całości, a dwa ostatnie, zanadto stronnicze, nie dają zdrowego poglądu i nie wyczerpują przedmiotu.

Wróćmy do Prądniczana.

Pomyślny stan miasta Krakowa, któryśmy powyżej skreślili, wpływał bardzo przyjaźnie na byt ich materialny. Furmanka i udział w handlu pogranicznym przywiódł ich do wielkiej zamożności; zamknięcie jednak granicy i otwarcie drogi żelaznej zniweczyło ten błogi stan rzeczy, i dziś zwrócić się musieli do roli, a wieś znacznie podupadła. Pocieszka i Rozrywka już prawie nie istnieją, zamożniejsi mieszkańcy zapomnieli o ulubionym miejscu przechadzek ku Prądnikowi, a gościniec, kiedyś jeden z najbardziej ożywionych, dzisiaj trawą zarasta.

Wdzięku tej okolicy ujęły także nastroszone działami bastiony i baterie, które wieńcem opasawszy Kraków, odebrały mu wejrzenie miłego i cichego ustronia, a podsunawszy się pod sam Prądnik, także przyczyniają się do jego opustoszenia.

Inaczej rzecz się ma z Prądnikiem czerwonym. Mieszkańcy jego niewiele uczestniczyli w zatrudnieniach białych swych współbraci, bo też zupełnie inna zajmuje ich praca.

Ludność Prądnika czerwonego trudni się wypiekaniem chleba; sława jego przedarła się po za mury Krakowa, i mnóstwo mieszkańców nawet Warszawy, jeżeli go nie jadło, to słyszało przynajmniej o chlebie prądnickim.

Olbrzymie wymiary chleba tego dochodzą półtrzeciej stopy średnicy, na dziesięć cali wysokości a nawet i więcej, waży zaś niekiedy do trzydziestu funtów. Biały i smaczny, czysto żytni, tym się szczególnie zaleca, że im czerstwiejszy, tym lepszy, a nawet w parętygodni po upieczeniu jeść go można z przyjemnością.

Prądniczanie mają swój sposób zaciniania i pieczenia chleba. Piecze ich, stosownie do celu stawiane, trzymając długo ciepło potrzebne do pieczenia tak wielkich bochenków. Wywożą go trzy razy na tydzień, we wtorki, piątki i niedziele, na targ krakowski i tam go sprzedają na wagę, według wyznaczonej przez rząd taksy.

Lud ten piękny, rosły, zwyczajami i ubiorem zbliżony do sąsiednich Ogrodników, ustępuje im przecież co do zamieszkania, stroju i zamożności, a nawet lekkości, zgrabności i szyku; obejście jego mniej delikatne, obyczaj mniej do miejskich zbliżony, wytwor-

niejsze przecież niż u mieszkańców dalszych wiosek, wskazują że Prądniczanie są niejako ogniwem łączącym włościan przemiejskich z ludnością zupełnie wiejską.

W ogóle Prądniczanie, jak i wszyscy mieszkańcy wsi przyległych miastu, są pobożni i moralni. Posty i przepisy religijne ściśle zachowują, odpusty namiętnie lubią zwiadać. Pijaństwo u nich pojedyncze jednostki ogarnia, kradzież bardzo rzadka, a o zabójstwach nigdy nie słychać.

Chłopski, jak go zwiemy, rozum, czyli szybki a tra-

dnicznej wiosce, ale pragnął nieść światło pomiędzy lud roboczy, wpływać na jego udoskonalenie w rzemiośle i usilnie o to starać się, ażeby w nim rozbuździł zamiłowanie pracy i statku.

Trzeba wiedzieć że ciesiołką trudnią się zwykle okoliczni włościanie, którzy popracowawszy lat kilka i uzbierawszy nieco grosza, wracają na wieś i zenią się tam, osiadając na roli, rzadziej zaś zostają w mieście i do śmierci u majstrów pracują.

Z początku śmieli się, widząc siekiere w delikatnej ręce panicza; lecz gdy ujrzeli że nią dziarsko wywijał, że nie ugiął się pod ciężarem belki, ani go straszyla stroma spadzistość więzania kocielnego dachu, polubili go serdecznie.

Nieraz w niedzielę zastawałem go w gronie kilku współrobotników, ubranych w chłopskie kaftany isiedzącychokoło stołu nad papierem na rejsbretach rozpiętym.

Sam ubrany w sukmanę chłopską, stał nad niemi i chodził od jednego do drugiego, ucząc ich rysowania planów, wiązań i innych drobniejszych robót ciesielskich, jak: schodów, futryn, drzwi i t. d. Potém szła nauka czytania, pisania i rachunku, a choć to starym uczniom z trudnością przychodziło, przecież widać było w nich staranność i jakby bojaźń zniechęcenia niepojętnością młodego nauczyciela.

W drugie święto wielkiej nocy zaproszono go na święcone i chrzciny do jednego z włościan prądnickich, którego syn trudnił się ciesielką i był jednym z najpojętniejszych uczniów mego kolegi. Ten namówił mnie abym mu towarzyszył, na co z chęcią przystałem.

Przyjęto nas serdecznie, a osobliwie mego towarzysza, ustrojonego z pewną elegancją w ubiór chłopski. posadzono na najpiękniejszym miejscu i częstowano obficie.

Kiedy przybyliśmy do wsi, już było po chrzcie, i tylko zbierano datki dla nowonarodzonego i baby co go do kościoła wozila. Pomiedzy święconem szczególnie odznaczała się na cztery stopy długa strucla, która przecież nie należała do zastawy stołu, ale była tak zwaną kukielką chrzestną. Im ta większa i lepiej się wydarzy, tém ochrzczone dziecko będzie lepiej rosło i tém pomyślniej wieść mu się będzie na świecie.

Stół zastawiony był szynką, kielbasą i innymi zwykłymi wielkanocnymi potrawami. Skorupy wszystkich jaj pofarbowano na żółto łupinami z cebuli, a kolacze tém się odznaczały, że je trudno jeść było, dla mnóstwa szafranu jakim były zaprawione. Stół cały umajono zieleniną; choina i bukszpan grały główną rolę.

Kiedy się kompania w najlepsze zabawiała, nagle usłyszałem za drzwiami huczny śpiew:

Miły gospodarzu!  
Puśćcie nas do izby,



POMNIKI JANA III i MICHAŁA KORYBUTA W KATEDRZE KRAKOWSKIEJ. (Rysował z natury Dziarkowski).

Boć nas tu niewiela,  
Nie zrobimy cizby.  
Stoimy za drzwiami,  
Jest pan Jezus z nami.  
Do izby nas puście,  
Bo my po śmigucie,  
I dajcie co macie dać,  
Bo nam tutaj zimno stać,  
Krótkie mamy kożuszki,  
To nam pomarzną brzuszki.

Co to takiego? zapytałem mojej najbliższej sąsiadki.

— A to proszę pana niosą chłopcy tracyka.

— Cóż to za tracyk?

— A no taki niby baranek co piłą rznie, na pamiątkę tego, jako Pan Jezus był niewinnym barankiem i świętemu Józefowi pomagał w ciesiołce rznąć piłką.

Wtém gospodarz otworzył drzwi i zawołał:

— No pójdzcież próżniaki!

Weszło najprzód trzech chłopaków ubranych po wiejsku, ale na głowie mieli czapki papierowe ulańskie, na piersiach czerwone rabaty i na krzyż bandolery papierowe, a na nich palasze drewniane i ładownice. Za nimi szło dwóch, niosąc drewnianego baranka, który trzymał w przednich łapkach piłkę do rznienia drzewa. W około niego było mnóstwo gałązek choiny i bukszpanu. Postument był zaopatrzony jakąś maszyneryą z kółkiem, za którego obrotem baranek ciągle się kiwał, jakby rznął drzewo. Kilka dzwoneczków wciąż dzwoniło. Za temi szedł jeszcze jeden, niosący Bożą mękę, ubraną we wszelkie jej godła, dosyć zgrabnie wyrobione kozikiem. Nie brakowało nawet koguta ulepionego z ilitu i pomalowanego na żółto, z kilką prawdziwymi piórami w ogonie.

Skoro ustawili się ordynkiem, wystąpił jeden ułan i począł śpiewać:

W wielki piątek rano  
Boża rosa była,  
A anieli bieli  
Rosę pozbialali.  
Widzisz ty Marya  
Tę górkę szeroczką,  
Szeroczką, szeroczką,  
W koluśko wysoczką?  
A na tej górze  
Kościół murowany,  
Kościół murowany,  
Złotem pobijany.  
A w tym ta kościele  
Stoi krzyż przy ciebie,  
A na tym ta krzyżu  
Boga umęczyli,  
Cierniową koronkę  
Na główkę wtłoczyli,  
I okrutnie włócznią  
Przebili mu boczek,  
Aże łezki ciekły  
Z przenajświętszych oczek.  
Jego świętą szyjkę  
W łańcuch opasali,  
A rączki i nóżki  
Gwoźdźmi przybijali.  
Jego święta krewka  
Promieniami ciekła,  
Ciekła promieniami,  
Aże do otchłani,  
Z otchłani do piekła  
Święta krewka ciekła,  
Żeby patryarchom  
Przynieść odkupienie  
I za nas też, za nas,  
Wierni chrześciance.

Po skończonej pieśni wystąpił drugi, recytując szybko jednym tchem następną oracyą:

A wo ci ja wyrwikolek,  
Byłem za woźnicę,  
Miałem ojca wisielaka,  
Matkę czarownicę.  
A potem mój swacek (szwagier)  
Na wojenkę mię wyprawiał,  
Wszystkie majątności  
Za mną pozastawiał,  
Dwa zagony prosa,  
Dwa zagony owsa,  
Kupił—ci mi za to  
Konia za dwa grosa,  
A konia jakiego,  
Z drzewa lipowego,  
A siodło do tego  
Z łyka wierzbowego,

Uzdeczkę do tego  
Z sznurka konopnego.  
Jakem siadł na to  
To to skakało,  
Wierzgało,  
Rzucało,  
Ale mi się na tém  
Pięknie jechało.  
Jadę ci bez pole  
Samemi zbożami,  
Patrzę, óma żołnierzy,  
A sami *kwarciani*,  
Jako one dziady  
Wszyscy obtargani.  
I pyta—ci mi się  
Jakis starszy bury,  
Czyli też rozumiem  
Chwytać po wsi kury.  
— A moi panowie,  
Nieswiadomym tego,  
Ale się nauczy  
Jeden od drugiego.  
Wylazłem do księdza na górę,  
Gwiznałem na kurę.  
Ano leci ku mnie,  
Będę miał pociechę,  
Aż tu gospodyni  
Jak wrzaśnie na *klechę*,  
Jak—ci mię nie skrobnie  
Bez plecy z góry,  
Ażem ujrział gwiazdy,  
Ale żadnej kury.  
Otożem powiedział  
Sliczną oracyom (a),  
Jak mi nic nie dacie  
To was pozabijom.

Następnie trzeci wyszedł naprzód i zaczął:

Ojcie nasz we Lwowie  
Bili się dziadowie,  
Ciele im uciekło.  
Oj ty ciele nie chroboc(z),  
Bo ja nie spał całą noc,  
Bo mi baby nie dały,  
O kury mię posadzały.  
A bodaj ja z góry spadł,  
Anizeli kury krałł.  
Wędrowałem po świecie,  
Napadłem sześć koszul na płocie,  
Trzym wziął, trzym zostawił,  
Żeby mi Bóg błogosławił,  
Cobym lepiej krałł.  
Zachodzę do baby,  
Baba masło robi;  
Ja do masła,  
Baba mię w łeb trzasła;  
Ja do masłonki,  
Baba do kijonki;  
Ja do chleba krajać,  
Baba na mnie łajać.  
O babo przekłeta,  
Niech ci Bóg pamięta!

Wszystkie te oracye za złotówkę chętnie podyktowali mi po skończonym obrzędzie chłopcy, a spisałem je dlatego, iż niezawodnie pochodzą z owych czasów, kiedy rozpasaue bo niepłatne żołnierstwo uciskało włościan po wsiach i wydzieralo im kęs chleba. Wyrazy: *kwarciani* i *klecha*, widocznie okazują w jakiej epoce oracye te powstały i jak je dotąd lud przechowuje, pomimo że nigdzie nie widziałem zapisanych tych zabytków, ludowych, wyjąwszy połowy oracyi pierwszej.

Nakoniec wesoła gromadka wiejskich pustaków zaśpiewała chórem:

Apostołowie gdy wieczrę mieli,  
Z Panem Jezusem przy stole siedzieli;  
Siedział i Judas, potępiona dusza,  
Aby zaprzedał milego Jezusa.  
O Judasie, Judasie,  
Zdrajco pana mego!  
Sprzedałeś go, sprzedał  
Dla grosza marnego.  
Gdybyś go był sprzedał  
Najświętszej panience,  
Byłaby ci dała  
I pieniędzy więcej.  
Gdybyś go był sprzedał  
Apostołom świętym,  
Wziąłbyś troje tyle,  
Judasie przekłety.

A dajcież nam co macie dać,  
Bo nie będziemy dłużej stać.

Ale nie dawajcie  
Jednego jajeczka,  
Boby nam go wzięła  
Piękniuszka dziewczeczka,  
Ale nam też dajcie  
Dziesięć par jajeczek,  
Dołóżcież nam z laski  
Kiełbasy kawaleczek.  
Prosi tracz o kołacz,  
Tracyna o spérkę,  
Żeby miała czém smarować  
Tracykowi piłkę,  
Żeby dobrze rznąła,  
Na nową robiła.

Wreszcie, bojąc się małego datku, zakończyli pieśń następną pogrózką:

A gdzież to baba,  
Co jajeczko dała?  
Bodaj ona za to  
Z piekła nie wyjrzała.  
Wyleż babo z piekła,  
Jużes się upiekła.  
Jeszcze nie wylazę,  
Aże się usmażę.

Obdarzeni chłopcy odeszli wkrótce za drzwi i przed sienią powtarzali mi oracye i śpiewy, które skrzętnie zapisywałem, gdy w końcu rozległ się krzyk dokola: *śmigust! śmigust!* Na to hasło rozbiegła się rzesza w oka mgnieniu, a goście chrzestni zaczęli się wodą z dzbanów i konwi oblewać nawzajem, wśród wesołych krzyków, pisku kobiet i śmiechu mężczyzn. Zaczęły się wzajemne gonitwy, każdy gdzie mógł się chronił, uciekał, zasłaniał; ale to nie przydało się na wiele, bo strumienie wody zewsząd płynęły; stoły, stolki i wszystkie sprzęty, wyjąwszy stołu na którym było święcone, zostały dotknięte powodzią.

Podochoceci nie zważali na nic; i chorą matkę siedzącą na łóżku się dostało, ledwie że potrafiła dziecinę zastonić.

My nie uszliśmy także tego losu, i pomimo obrony i uciezki, dobrze przemoczeni i przeziębli, dzwoniąc zębami, siedliśmy na wózek, który około północy odwoził nas do Krakowa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## POMNIKI

### JANA III i MICHAŁA KORYBUTA

W KATEDRZE KRAKOWSKIEJ.

Cała katedra krakowska, to jeden pomnik przeszłości. Wszedłszy do niej i obejrawszy się dokola, niewiedomo gdzie wzrok zatrzymać, tyle tam grobowców, a każdy wielkiego człowieka. Wcisnie się wprawdzie gdzieś jakiś Gamrat; ale wszak właśnie paszyty czepiają się drzew najwspanialszych.

Jak przecież gwiazdy pierwszej wielkości na sklepieniu niebieskiem wyróżniają się z tysięcy tysięcy drugorzędnych światel, tak pomniki monarchów polskich przodują innym w murach katedry; ku nim najpierw nieprzparty pociąg zwraca pielgrzyma, na nich najprzód oko jego spoczywa.

Po za wielkim ołtarzem, w krąganku wiodącym od kaplicy świętych młodzianek ku ołtarzowi wszystkich świętych, zaległy część ściany dwa wielkie pomniki, Jana III i Michała Korybuta.

Oba z marmuru czarnego, ustrojone ozdobami z gipsu, czynią wrażenie żalobne na patrzającym. I słusznie te barwy przybrały, bo już opona kiru rozścielała się nad upadającą Polską, gdy ci dwaj Piastowie rządili.

Na marmurowych podstawach siedzą okuci niewolnicy tureccy, jako godło przyszłości, i dźwigają na ramionach trumny... prorokinie niedalekiego skonu ówczesnej Rzeczypospolitej. Na trumnach płaskorzeźby białe: u Korybuta zwycięstwo pod Chocimem—u Jana oswoobodzenie Wiednia... gorzkie szyderstwo. Po za trumnami sterczą obeliski, a w górze ulatują anioły, utrzymując w dloniach obu nieszczęśliwych monarchów, których dusze wyzwalają z więzów ciała.

Na pomniku Korybuta jest także portret Eleonory, córki cesarów, która nie wahała się zniżyć do prostego szlachcica, gdy na jego głowie zabłysła złota przepaska; na pomniku Jana III portret ukochanej Marysienki.

Obadwa nagrobki postawiła kapituła; kraj nie zdobył się na nie, bo jak pisze ks. biskup Łętowski, Korybuta nie miał za co pamiętać, a Sobieskiemu za jego sławę być wdzięcznym. Na grobowcu Korybuta niema wcale napisu, na pomniku zaś Jana III czytamy następny napis w języku łacińskim, wiérsem, odpowiedni niniejszemu tłumaczeniu:

### Janowi III

Z wyboru polskiemu, litewskiemu i pruskiemu władcy,  
Wyswobodzicielowi Austrii i Węgier,  
Pogromcy Otomanów, Traków i Scytów,  
któremu Królestwo  
Chwała wojenna zjednała,  
Polaków miłość ustaliła,  
który

księżyc turecki  
Krzyża chorągwi zgubą grożący  
od chrześcijańskich granic  
tak szczęśliwie i potężnie przepędził,  
że przyjąć, ujrzyć i zwyciężyć  
było dla niego jedno.

Temu monarsze  
dnia 17 czerwca 1696 roku zmarłemu  
i w grobowcach tej katedry  
pogrzebionemu,  
Rzym z Innocentym XII sprawiedliwość oddał,  
a kapituła krakowska pomnikiem tym  
kosztem swym wzniesionym  
pamięci go przekazała.

Trzy smutku przyczyny są  
pod tym marmurem pogrzebane:  
Król, Ozdoba kościoła,  
Najwyższy zaszczyt ojczyzny.

We drzwiach grobowca Korybuta jest przejście po  
za wielki ołtarz, którym klerycy podczas nabożeństwa  
wchodzą.

Smutne wrażenie czynią te dwa pomniki. Krótkie  
było panowanie Korybuta, przepelnione intrygami  
możliwych, od których nie był wolny i Sobieski. Gorz-  
ko okupił syn Jeremiego zaszczyt którym go Polacy  
w chwili uniesienia dla zasług ojca okryli. Dłuższe  
lecz nie wolne także od zawodów, które go na każ-  
dym kroku spotykały, były rządy Jana; świetniał on  
bezowocnymi zwycięstwami szeroko po świecie. Pogrom  
wiedeński jest punktem kulminacyjnym jego chwały,  
a któż się dzisiaj z niego raduje? Lechce próżność  
i miłość własną narodu, a zadał mu niezgojoną ranę.  
Sobieski, najdzielniejszy bohater, najlepszy mąż, naj-  
lichszy polityk, Korybut, najzaczniejszy człowiek, naj-  
nieszczęśliwszy król, igraszka możliwych. Trudno osądzić  
którego silniejszym brzemieniem ucisnęły prze-  
ciwności—dlatego też grobowce ich obok siebie sto-  
ją, jednakowe są kształtem, wyrobem i barwami.  
Na pomniku Jana dokonane czyny dały treść do na-  
pisu, pomnik Korybuta niemy. Oba uderzają barwą  
żałoby, widok obu boleśnie ścisła serce.

### DĘBNO,

#### WIEŚ Z ZAKŁADEM WODNOLECZĄCYM.

Wielkopolska, stanowiąc nieprzerwaną prawie rów-  
ninnę, dość jest ubogą w znacznie większe wypadki hi-  
storyczne, a jeszcze uboższą w kopalnie i źródła mi-  
neralne. Jedno tylko mamy Dębno, gdzie latem zbiera-  
ją się liczne grono szukających tu wycieńczenia i roz-  
rywkę, lub pomocy tutejszych kąpiel, które na wzór  
grefenbergskich są urządzone. Wieś ta w powiecie  
pleszewskim, tuż nad samą Wartą, leży w jednej  
z najpiękniejszych okolic w ks. poznańskiego. Zbli-  
żając się ku Dębnu od strony południowej, od mia-  
steczka Zerkowa, wjeżdżasz najprzód na wzgórze po-  
kryte lasem, z którego wychyliwszy się na pole, spo-  
strzeżesz Wartę ciągnącą się jakby srebrna wstęga;  
dalej wyrzy wieża kościelna, ukaza się czerwone da-  
chy i cała wieś jakby na dłoni, ukryta w bujnych  
zarostach drzew, ożywna zielonością, leżąca na brze-  
gu mało co wzniesionym nad powierzchnią rzeki. Mu-  
siały być w tej okolicy w dawnych czasach wielkie  
dębowe lasy, z kąd niezawodnie nazwa Dębna pocho-  
dzi, i rozciągały się zapewne ku miasteczku Mieszko-  
wu, gdzie znów jest folwark Dąbrowa. W Dębnie  
też, jakby na pamiątkę, pozostało w ogrodach kilka  
dębów nadzwyczajnej grubości, które oglądających je  
w podziwienie wprawiają, a wśród letnich upałów  
za schronienie służą. Z drugiej strony rzeki jest tak-  
że jeszcze kilkadziesiąt dębów, lecz tylko na opat-  
zdatnych.

Najdawniejszymi dziedzicami Dębna, o ile z róż-  
nych dokumentów i akt tutejszych kościelnych dojść  
można, była rodzina Kotów herbu Doliwa, z której  
Maciej kasztelan nakielski w r. 1401 dokument na  
erekcją kościoła tutejszego uzyskał, a syn jego Win-  
centy, arcybiskup gnieźnieński i prymas, rzeczywistym  
ónego był fundatorem. Następnie posiadłość ta prze-  
chodziła kolejno w ręce Pampowskich, Roszkowskich,  
Radomickich, Sapiechów, Kozmińskich, Dąbskich, So-  
kolnickich, Gorzeńskich, Jaraczewskich, a nakoniec

w roku 1812 kupił ją Michał hr. Mycielski. Syn  
jego Stanisław wziął Dębno przez spadek po ojcu 1821 r.,  
a Zerków po śmierci matki nabył od braci. Dawniej je-  
szcze kupił dobra lubartowskie w Lubelskiem, a przez to  
ujrzał się podobno w konieczności sprzedania dóbr Zer-  
ków i Dębno. Wchodził już od dłuższego czasu w u-  
kłady i cieszyli się wszyscy nadzieją, że nabędzie je  
hr. Jan Działyński: gdy naraz przed kilku tygodnia-  
mi nader smutna a niestety prawdziwa rozeszła się  
wieść, iż hr. Mycielski sprzedał te dobra dwóm Ży-  
dom niemieckim, Abrahamowi Rohr i Gecowi Kohn,  
a sam cichaczem od nas całkiem się wyniósł. Tak  
więc znów znaczny kawał ziemi wyszedł z rąk pol-  
skich, a szkodliwe złąd następstwa dla narodowości  
naszej są nieobliczone.

O kościele parafialnym w Dębnie jest podanie, że  
stał początkowo w miejscu Godzięty zwanem; tyle  
zaś jest rzeczą pewną, że był tu kościół już w XIV  
wieku, gdyż w czasie wizyty Gnińskiego archidya-  
kona szremskiego r. 1683 posiadał przywilej na pergaminie,  
Dobrogosta biskupa poznańskiego z r. 1393 d. 12 listopa-  
da. Mocą owego przywileju tenże biskup dziesięcinę z wsi  
kościelnej w Dębnie przekazał, roku zaś 1395 odpust  
mu nadał. Pokazuje się także dowód istnienia dawnie-  
szego kościoła z nowej jego erekcji r. 1401, nadanej  
przez wzmiankowanego wyżej Macieja Kota, dziedzica  
Dębna. Ale prawdziwym, jak mówiliśmy, fundatorem  
dzisiejszego kościoła był syn owego Macieja, ks. Win-  
centy Kot arcybiskup gnieźnieński, który tu r. 1444  
wystawił nową murowaną świątynię i hojnie ją upo-  
sażył. Dowodzi tego umieszczone w ścianie wewnętrz-  
nej popiersie na ciosowym kamieniu, z napisem goty-  
ckimi literami: Haec ecclesia aedificata est per Vin-  
centium Koth, archiepiscopum Gnesnensem et prima-  
tem, anno 1444. Ta nowa erekcja jest także oblato-  
wana w księdze konsystorza poznańskiego pod r. 1642  
i w księdze przywilejów kapituły pod r. 1447. Przy  
kościelnie tym pod tytułem Wniebowzięcia N. M. Pan-  
ny, ustanowił arcybiskup ową erekcją proboszcza i  
mansjonarzy do śpiewania godzin kościelnych. Było  
ich czterech, a według wizyty Rogalińskiego w r. 1774  
dopiero zniesieni zostali.

Kościół sam w stylu gotyckim, chociaż nigdy w zu-  
pełności wykończony nie był, przedstawia jednakże  
te osobliwości, że przez późniejsze naprawy i odno-  
wienia pierwotny jego charakter świetnej dla archi-  
tektury kościelnej epoki XV wieku, zmienionym nie  
został, jak się to z wielką liczbą innych kościo-  
łów stało. Opisują go wizyty Happa z r. 1610 i Gniń-  
skiego z r. 1683. Według ostatniej był murowany,  
znamienity (insignis), ze sklepieniem malowanym i ca-  
ły malowaniami przyozdobiony; posadzkę miał z ce-  
gły. Opis ten zrobiono zapewne po pożarze, gdyż wi-  
zytujący znalazł spalone domy mansjonarzów, dwa  
domy przy kościele i puste miejsce przy cmentarzu,  
gdzie przed zgorzeniem stał dom szkolny. W czasie  
następnej wizyty ks. Wolińskiego archidyacona szrems-  
kiego r. 1743, kościół ten dachówką był pokryty,  
która w części potrzebowała przełożenia, ogrodzenia  
zaś murowanego około kościoła prawie trzy części  
brakowało. Wreszcie według wizyty ks. Rogalińskiego,  
także archidyacona szremskiego z r. 1777, ko-  
ściół w najędźniejszym był stanie i potrzebował spiesz-  
nej naprawy, osobiście w dachu, przez który dęszcz  
jakby przez rzeszotę przeciekał i niszczył wszystkie  
jego ozdoby. Murowane ściany kościoła od północy  
zagrażały upadkiem i w liczne rozpadły się szczeli-  
ny. Podłoga z cegieł w niektórych miejscach potrze-  
bowała także naprawy. Sufit drewniany był malowa-  
ny, lecz z powodu przeciekającego dęszczu po większej  
części zgniły. W podobnym zupełnie stanie był ko-  
ściół przy tradycji jego w r. 1787, i jak się zdaje  
nie około naprawy jego nie zrobiono aż do r. 1853.  
Wtenczas dopiero dano w kościele nowy sufit z drze-  
wa nakształ sklepienia, przywrócono pierwotne, póź-  
niej zasklepione okna, wystawiono nowy dębowy  
wielki ołtarz i ambonę, odnowiono boczne ołtarze i  
zewnątrz cały prawie kościół. W r. 1610 miał on już  
organy, gdy tymczasem w innych kościołach parafial-  
nych po wsiach, a nawet po miasteczkach, organy,  
pozytywki i t. p. instrumenta muzyczne, zjawiają się  
dopiero około środka XVII wieku. (\*) W skarbcu ko-  
ścielnym znajdują się dwa kielichy z XV i XVI  
wieku, jeden z herbem Doliwa dziedziców Kotów, drugi  
z herbem Gozdawa Pampowskich. Na pierwszym herb  
już odpadł, tylko znać miejsce gdzie był umieszco-  
ny; wizyta jednak Gnińskiego z r. 1683 mówi o nim,  
iż miał na sobie herb Doliwa. U wierzchu kielicha są  
gotyckie litery, których odczytać nie można. Na dru-  
gim kielichu u spodu jest obraz Matki Boskiej i herb  
Gozdawa, a wyżej na ornamentach litery M A R I A.

(\*) Ob. Łukaszewicza opis historyczny kościołów paro-  
chialnych w dawniej diecezji poznańskiej, t. II, str. 207.

Przed kilkunastą laty właściciel Dębna, Stanisław  
hr. Mycielski, odwiedzając często zakład Priesnitza  
w Grefenbergu, tyle się w nim i w jego sposobie  
leczenia rozmiłował, iż postanowił podobny zakład  
w swych dobrach urządzić i ofiarował na ten cel  
300,000 złp. Doktor Matecki, niemniej gorliwy zwol-  
ennik Priesnitza, bardziej jeszcze utwierdził hrabiego  
w tym zamiarze. Znajdował się już w Dębnie obszerny  
gmach nad Wartą, przeznaczony pierwotnie na spi-  
chlerz, w którym posiadziciele okolicznych dóbr skła-  
dać mieli swe zboże, zanim je zdołają sprzedać i spła-  
wić. Spichlerz ten w roku 1845 przerobiony został na  
zakład wodnoleczący, w kształcie jak go widzimy na  
rycinie; umieszczony w nim lazienki, mieszkania, sale  
i miejsca zebrania dla chorych i gości. Piękne z po-  
łożenia już swego miejsce, zdobi park rozciągający się  
naokoło zakładu, który ciągle wielu znajduje zwolen-  
ników.

### Franciszek Morawski.

(Dokończenie).

Pozostając w najściślejszych stosunkach przyjaźni  
z Wincentym Niemojewskim, Kajetanem Koźmianem  
(1) i Niemcewiczem, należał do najczynniejszych i naj-  
gorliwszych członków ówczesnego Towarzystwa przy-  
jaciół nauk w Warszawie. Znana jest powszechnie  
tyle ważna podówczas walka w literaturze naszej,  
która wszystkich piszących i miłośników literatury  
ojczystej w poruszenie wprawiała, dzieląc ich na dwa  
przeciwnie sobie obozy, to jest klasyków i romanty-  
ków. Od czasu kłótni Orzechowskiego z Stankarem  
i Modrzewskim, żaden rozterk piśmienny nie był u  
nas tak głośny, żaden przedmiot literacki tyle piór  
nie zaprzętnął i żadna waśń nie zrzuciła tak prze-  
ważnych skutków. Jednemu ze znakomych pisarzy  
naszych podobało się nazwać tę walkę piśmiennem  
sektarstwem w Polsce. Było to jednak raczej eman-  
cyacją ducha i prawdziwie narodowej poezji, przy-  
spობieniem skrzydeł do wznioślejszego podlotu. Wal-  
ka była niełatwa, a nawet zaciepła. Stanęli po jednej  
stronie klasycy, wykształceni na wzorach a związa-  
ni formami literatury obcej, począwszy od dawnych  
Rzymian, aż do nowszej tak zwanych klasyków fran-  
cuzkich; naprzeciw nim zajęli pole romantycy, poeci  
nieznani i z trudnością poznani, którzy co dopiero  
w Wiesławie, Maryi i Grażynie wybiegli na wido-  
wnię, poeci czysto narodowi, ale bez przepisów i pra-  
widel, nieznający żadnego widziela w polocie swęj  
wyobraźni, nieukróceni żadną zewnętrzną formą, za-  
dną wątpliwością, zaszumieli jako wezbrany potok  
bez granic i brzegów. Ludziom wykształconym i nie-  
jako wykołysanym na wzorach które wiekopomną  
osiągnęły sławę, trudno było oswoić się z tą myślą, iż  
dla prawdziwych poetów niema przepisów, bo oni sa-  
mi stają się wzorem. Polot nowej myśli i wyobraźni  
wyzwolonej z więzów poetyckiego ducha, rozlał się  
gwałtownym potokiem po rozległych obszarach naro-  
dowej przeszłości i przez to nowopojawiającą się  
szkołę tém piękniejszą i wzniolejszą uczynił. Stare  
groby i zamczyska, jakby różyczką czarodziejską, po-  
wołane zostały do życia, a kilkowiekowe przedziły  
krótką tylko stały się chwilką. Nowi poeci całą du-  
szą pokochali wyobrażenia i fantazyą gminu, gdyż  
bez wątplenia w prostocie nieskalanego serca ludu  
najwięcej przechowało się narodowego życia, najwię-  
cej szczeroty i prawdy. Romantycy przekonali  
ziomków swoich, że przeminął czas kiedy u nas pi-  
sano wiersze na cześć kształtnych nóżek kobiecych  
i misternie trefionych kędziarów. Według ich wyobra-  
żenia, przeszłość narodu, jego życie i wspomnienia,  
miały odtąd w pieśni zastąpić owe nóżki i spłoty,  
a treny Jeremiasza, pieśni dawnych minstrelów i bar-  
dów, miały posłużyć za jedyny wzór poetom, jeżeli  
rozbijały wyobraźni poety jaki wzór jest potrzebny.  
Takie nowe powstanie nie mogły od razu pogodzić się  
z wyobraźnią klasyków: byli tam najgodniejsi ludzie,  
wylani całkiem dla narodu; pomimo to wszakże uwa-  
żali przeciwnie sobie myśli za barbarzyństwo, a przy-  
najmniej napominali, iż nie czas jeszcze myśleć po  
swojemu i wszystko wyrozumować swoim pojęciem.  
Nie przestawali oni ciągle dawnym wzorem przestrze-  
gać delikatności, zalecali poprawność w smaku, śmieli  
się z złych wierszy i złej prozy, z niewycwiczonego  
dostatecznie talentu. Chwalili wreszcie często, co wed-  
le naszych wyobrażeń godniejsze było raczej naga-  
ny, a ganili, co pod żadnym względem na pochwałę  
nie zasługiwało.

Być może iż Morawski odgadywał ów błyskający  
geniusz w Mickiewiczu i wielkie zadanie nowej szko-

(1) Morawski napisał piękny i tkiwy życiorys przyjaciela  
swego Koźmiana.

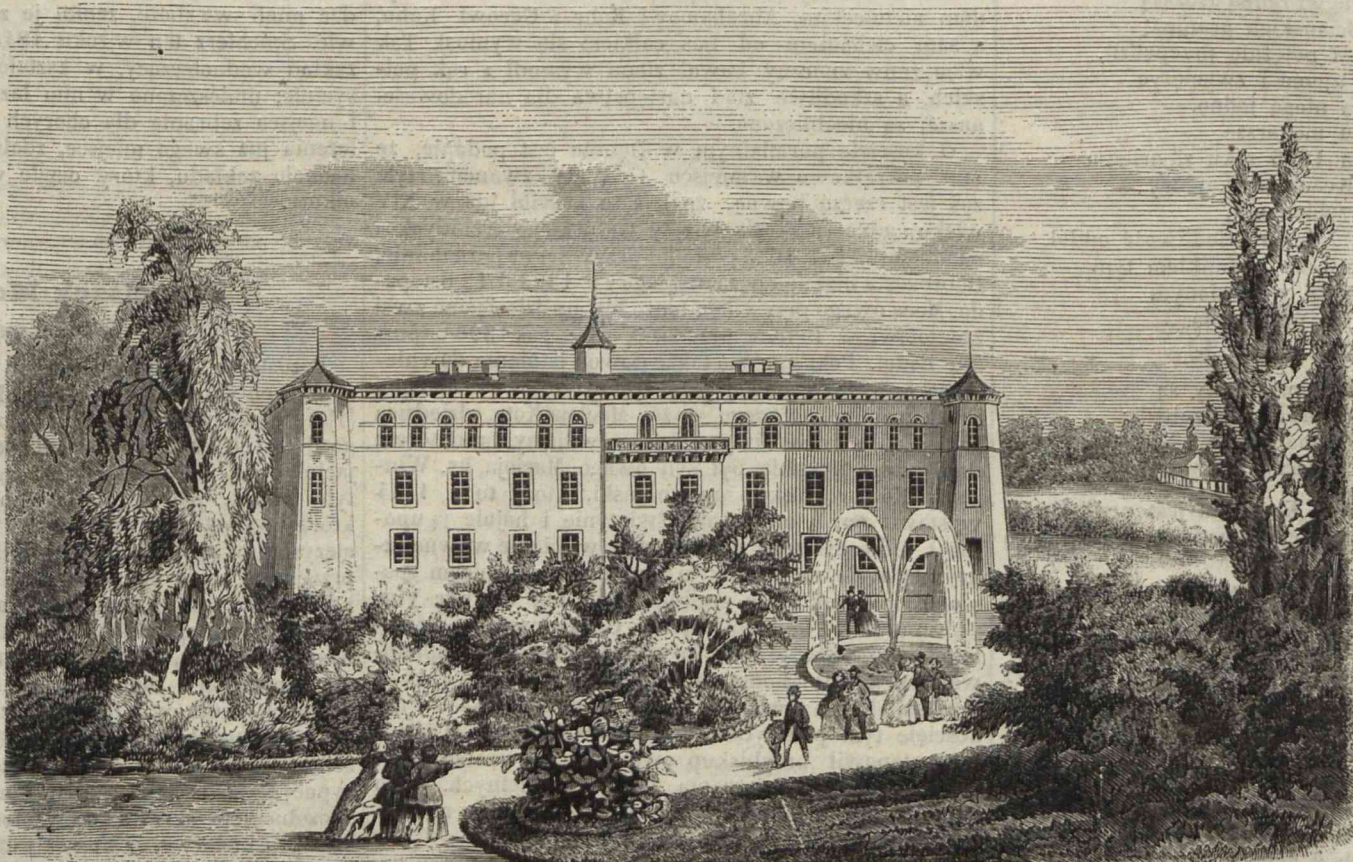
ly; lecz trudno było żądać aby on, doszedłszy już podówczas dojrzałego wieku, wykształcony na wzorach klasyków, mógł się od razu połączyć z młodzieńcami dopiero powstającej szkoły. Pozostał więc po stronie przeciwniej, a nawet liczył się do czoła tak zwanych klasyków. W ich piśmiennych utarczках z romantykami wieloraki brał udział, lecz zamiast zamiętanej walki, posługiwał się najczęściej tylko orężem humorystyki, starając się jednych z drugimi pogodzić. Z tego powodu ogłosił pisemko: *Klasycy i romantycy polscy*, w dwóch listach. Warszawa r. 1829. Listy te pisane są wierszami; w pierwszym zwraca się do klasyków, w drugim do romantyków; całość przypisana J. U. Niemcewiczowi, jako bezstronnemu sędziemu plodów ojczystej literatury. To pisemko miało zapewne Mochnicki na myśli, pisząc: „Inni wpadli na myśl pewnej medycyny. Zjawili się nawet w Warszawie rymowany projekt do zgody. Rozjemca z politowaniem mówi o jednym i drugim stronnictwie, gładkim wysmiewając wierszem i klasyków i romantyków.“ (2) Jest to w rzeczywistości nader dowcipny obraz owych literackich bojów. Wytykając jako bezstronny sędzia wady i zalety stron obydwóch, wzywa on do wzajemnego porozumienia się; przegląda jednak wszędzie większa skłonność autora do klasyków. Najbardziej oburza się na tych, którzy oczarowani nową szkołą, bez żadnych zdolności, chcą sami być poetami szkoły romantycznej, nadając potwor-

ny kierunek poezji i wprowadzają barbarzyństwo tworzenia nowych wyrazów, któremi starają się wszystkich *obaladować*. Uważa zaś nową szkołę jako ponętną i szkodliwą dla młodych umysłów. Z tego więc powodu pisze:

Oni (klasycy) przynajmniej w smutnej małpienia Homera naśladują, a wy samych siebie. [potrzebie Ledwie że się z infimy, a nawet z pieluszek,

twością wierszowania i rzewnym, niekiedy nawet góracem uczuciem narodowym.

Jan Popliński, profesor przy gimnazyum w Lesznie, pod przybranym nazwiskiem redaktora Ciechańskiego, od r. 1834 zaczął wydawać w Lesznie pismo peryodyczne *Przyjaciel ludu*, czyli tygodnik potrzebnych i pożytecznych wiadomości. Trudne to i niebezpieczne było przedsięwzięcie, bo Poznańskie dotąd, prócz *Gazety poznańskiej*, która od 2 sierpnia 1794 r. wychodzić zaczęła, nie mogło się zdobyć na żadne czasopismo. Szanowny profesor J. F. Królikowski zaczął wydawać w r. 1824 *Mrówkę poznańską*, lecz zaledwie zdołał ją prze-wlec przez sześć miesięcy roku następnego. Powstałe w miejscy Mrówki *Pismo miesięczne*, skończyło się na jednym zeszytcie. *Weteran poznański*, którego od r. 1825 zaczął wydawać Wojciech Turski, nie doznał lepszego powodzenia. Wstąpił na tę niewdzięczną niwę, wśród obojętnych na piśmiennictwo Poznańczyków, Jan Popliński. Ale on odgadł swe zadanie, wiedział jakim głosem odezwać się do czytelników. Odgadł od razu, że opisy i wspomnienia różnych miejsc dawnej Polski, wspomnienia osób i wypadków



ZAKŁAD WODNOLECZĄCY W DĘBNIE. (Rysował z litografii Lewicki).

Jakiś tam romantyczny wyrwie geniuszek, Już-ci się do nieszczęścia powołanym sądzi, Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi, Z jakiejś tam urojonej tęsknoty usycha, Jé dobrze, pije lepiej, a do grobu wzdycha.

Dlatego w końcu wzywa, aby jednej matki syny walkę do innego zachowali pola, a cień Kochanowskiego woła i błaga, aby nie kalali i nie szpecili tej pięknej Zygmuntońskiej mowy.

Po roku 1834 zesłany do Wołody, przeżył tam lat kilka, kojąc pieśniami chwile smutku i osamotnienia. Ale w tych przygodach wiele z jego prac, jak na przykład długi poemat Yella, całkiem zaginęły. Dopiero po powrocie z Wołody otrzymał zupełną dymissją, w której pozostawiono mu stopień jego wojskowy, tytuły i wszystkie oznaki honorowe. Wziąwszy paszport emigracyjny, wrócił napowrót do Luboni, majątku swego w w. ks. poznańskim.

Odtąd z rycerza stał się rolnikiem, obywatel, miłym i szanowanym w okolicy sąsiadem. Wspierany wieloletniem doświadczeniem brata swego starszego Józefa, oddał się rolnictwu z tym zamiłowaniem i gorliwością, jaka zwykle ożywia żołnierza, gdy oręż na lemiech zamienić jest zmuszony. Piękny ogród w Luboni umiłował jego spokojne w zaciszu chwile. On też w swęj ulubionęj włóści znał każde drzewo, każdy zagon swęj roli. Obok tego dom jego stał się siedliskiem nauk i gościnności. Wkrótce też dorósł mu syn i wziął na siebie cały trud codziennęj domowęj pracy w gospodarstwie. Wtenczas Morawski, sędziwy już starzec, oddał się całkiem literackiej pracy, którą tak zawsze miłował, i w słabą już dłoń uchwycił pióro, z której mu nieprzyjazne okoliczności oręż wytrąciły. Tęj miłęj pracy poświęcając wszystkie swe wolne chwile, szukał w nięj tylko rozrywki, nie zaś zwycięstw i chwały, bo o te na innem dobił się polu. Nie lubił nawet z swemi pracami się popisować, a przyjaciele jego musieli nieraz użyć fortelu, by skłonić go do ogłoszenia drukiem którego z swych utworów. Ale nie ociągał się ani chwili, skoro swą pracą mógł się przyczynić do dobrego celu, i jeżeli czém można go było skłonić do wydania którego z swych utworów, to najbardziej przedstawił, że dochód ztąd powstały może posłużyć do urzeczywistnienia jakiego pożytecznego lub dobroczynnego pomysłu.

Wszystkie jego piśmienne utwory, prócz mów przygodnych, są rymowane, odznaczają się dowcipem, ła-

padków znaczniejszych z dawnych czasów, znajdują dobre przyjęcie ziomków. I rzeczywiście podobnej wziętości i spółdziału jak *Przyjaciel ludu*, nie do-czeka się pewnie tak prędko żadne inne pismo. Młodzi i starzy, każdy się do niego garnął, kto tylko uczuł w sobie choćby najmniejszą zdolność piśmienniczą, każdy zasiał *Przyjaciela ludu* swemi pracami. Można śmiało powiedzieć iż to pismo rozbudziło piśmienne

(Ob. Dod.)

(2) Ob. Mochnickiego: O literaturze polskiej w wieku dzie-więtnastym, str. 104.

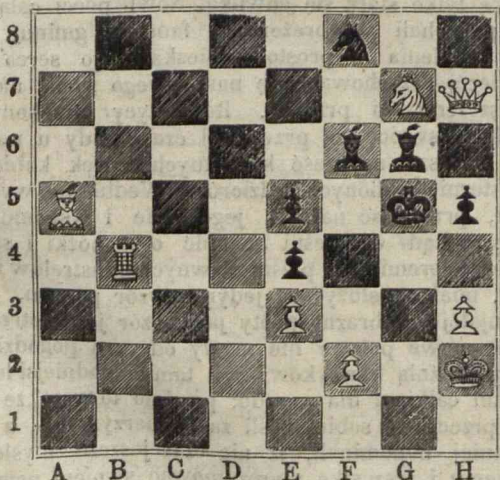
**SZACHY.**

**ZADANIE CIV.**

(Z. Rosenthal z Suwałk).

Białe zaczynają i dają matę za trzecim posunięciem.

Czarne.





Co dopiero znów uderzył dzwon wielki w każdym kościele, aby swym dźwiękiem przedrzeć się do serc głuchych i nawet obojętnym przypomnieć czas wielkiego postu, czas smutku i żałoby. Wszystko więc w kościele idzie zwykłym, od wieków przyjętym zwyczajem, ale niezawsze jednakowo dzieje się na świecie pomiędzy ludźmi. Zajmującym byłoby więc może pod niejednym względem, gdyby ktoś chciał opisać postać naszych karnawałów od lat trzydziestu, byłoby to zarazem wiernym odbiciem naszego publicznego życia. Nieraz w Poznaniu przez te lata tańczono i hulano, jakby wszyscy jakimś szalem uciech ogarnięci byli. Tańczyli nieraz wszyscy na zabój, komu tylko sił starczyło, bez względu nawet że niejedni wśród tej uciechy zachwiał się majątkowo, potoczył i potoczył do upadłości. To znów nastaly jakieś poważniejsze chwile, jakiś smutek krajowy; chciano się wówczas bawić, lecz nie śmiano, i wymyślono bale nowego rodzaju, to jest bez tańca i wesołości, jakoby życie bez ducha. Towarzyska pogadanka, wreszcie przegrywki na fortepianie kilku osób wyżej w muzyce uzdolnionych, miały zastąpić skoczny taniec. Było to wszystko, lecz były także nieodstępne w takim towarzystwie przymus i ościężałość, wkrótce nastalo poziewanie, a jeszcze kur północy nie zapiał, gdy całe grono zaczęło się rozchodzić i rozjeżdżać, aby już po raz drugi na podobną zabawę nie wrócić. W bieżącym dopiero roku postanowiono wcale się nie bawić.

Miejsca tych zabaw miały także w ostatnich trzydziestu latach swe historyczne epoki, jako wierne odbicie ówczesnych pomiędzy nami politycznych i społecznych zasad. Był czas w którym górowały u nas zasady tak zwane arystokratyczne, albo przynajmniej jakiś czas przechodowy zaciętej walki z demokracją, którą pozwolono sobie uważać tylko za socjalistyczną hołotę, a dyplomacya stanowiła wtedy pomost, na którym stanęli oględniejsi arystokraci, przedewszystkiem zaś oględniejsi materyaliści i twórciele trzeciego stanu, którzy, nawasem powiedziawszy, zapomniałi o tem, że dziejowem naszym zadaniem było pojednać i połączyć wszystkie stany w jedną rodzinę, nie zaś, na wzór cudzoziemski, wygrzebywać i stawiać stan nowy i oddzielny. Takie zapatrywanie się było u nas wówczas podstawą i wpływało, słabiej lub mocniej, otwarcie lub skrycie, na całe nasze domowe i publiczne życie, na wszelkie wypadki i czynności, a nie mogło pozostać także bez wpływu nawet na zabawy.

Cofnijmy się myślą w tył o lat trzydzieści, a zobaczymy że i wtedy nie brakło wprawdzie powodów ciszy, lecz mnożyły się rozmowomina, iż smutek nie może trwać wiecznie. Zaczęły wdychać matki do zabaw dla swych córek, drgały też córkom i w ogólności młodzieży serca do tańca. Zaczęto zwolna po powiatach, niby tylko na okolicę przyległą, tworzyć kassyna i zamknięte towarzystwa zabaw. Wystawiano sobie zawsze, że to nie są zabawy publiczne; ale raczej tylko rodzinne, zgromadzenia sąsiadów, znajomych i przyjaciół, a nawet czasem podobnym towarzystwom na okrasę nadawano poważne nazwy towarzystw agronomicznych lub starożytności. Mieliśmy wówczas podobne towarzystwa w Gostyniu, Szamotułach, Gnieźnie, Ostrowie i Raszkowie. Rzucono w końcu myśl, aby te towarzystwa ze sobą połączyć, ale znów odcieli arystokracji, który nawet w powiatowoszczynie dał się poznać, stanął temu połączeniu na przeszkodzie. Krobskie rywalizowało z Szamotulskiem o pierwszeństwo, inne zaś powiaty całkiem sobie lekceważono. Projekt zrobiony w jednym powiecie, celem połączenia, uważano w drugim za narzucanie się, a zgodzenie się znów na projekt ogólny, za uleganie ubliżające powiatowej godności. Obok tego wykryto jeszcze jedną jakoby nader ważną przeszkodę do złączenia się, to jest iż wspólne bale wszystkich towarzystw mogły się odbywać tylko w miejscu środkowym i najznaczniejszym, to jest w Poznaniu, a tu znów lękali się tak nazwani arystokraci, aby żywioły miejskie nie wciskały się w szlacheckie zgromadzenia. Tak więc hulano w każdy karnawał przez lat kilka po miasteczkach, licznie, wesoło i żwawo. Ale w końcu zasady przeciwnie zaczęły brać górę w polityce, oddziaływały więc także silnie na zabawy i naraz zaczęto szukać ogólnego zbratania się. Mieszkańcy polscy w Poznaniu założyli podówczas kassyna polskie, a wszyscy ze wsi na gwałt do niego garnąć się zaczęli. Otworzyły się w Poznaniu huczne karnawały i zgiekliwa hulanka; wnet po miasteczkach zabrakło bawiących się, osobliwie gdy wtenczas spostrzeżono, że w większym mieście wygodniej i przyjemniej bawić się można. Tak liczny a nawet szalony karnawał spędziliśmy po raz ostatni w r. 1845, a jeżeli w tym czasie w jakim innym

jeszcze mieście jeden lub drugi bal się odbył, to tylko niedelnie w tym celu, aby pan hrabia rozpoczął tańce z żoną rzemieślnika, jak to było n. p. w Bydgoszczy.

Wypadki polityczne poznańskie z r. 1846 zawiesiły wszelkie rozrywki karnawałowe już na początku tegoż roku, a dopiero następstwa wypadków 1848 r. otworzyły nanowo podwoje zabaw. W Poznaniu kolo towarzyskie, powszechnie kółkiem zwane, zajęło miejsce dawniejszego kassyna, a po miasteczkach, jeżeli tu i owdzie kiedyś z balami karnawałowemi wyrwać się ośmielono, to zapewne krótko to tylko trwało. Żadne już towarzystwo powiatowe przez czas długi ani zawiązać się, ani z Poznaniem rywalizować nie mogło. Kółko poznańskie stało się odtąd głównym ogniskiem zabaw, jak sam Poznań ogniskiem i środkowym punktem ruchu i życia mieszkańców polskich całego w. ks. poznańskiego. Czy kto mieszka stale w Poznaniu, czy też na czas niejaki przybywa z prowincyi do miasta za interesem, czy szuka rozrywki, czy widzenia się i pogadanki z braćmi, idzie wieczorem na kółko, a znajdzie tam najprędzej kogo lub czego szukał. W ostatnich czasach, na wzór poznańskiego, założono cztery podobne kółka dla sąsiednich okolic, w miejscach oddalonych od Poznania, to jest: w dawnym wojewódzkim mieście Inowrocławiu, w starożytnym Gnieźnie, w nędznej dziś mieścinie Gąsawie, gdzie w r. 1227 Świętopęk książę pomorski napadł w łaźni na Leszka Białego i uciekającego zabił na pobliskim polu, i czwarte w Pleszewie.

Jakie zajęcia obudzają te kółka, nie jest nam wiadomym; my wracamy raczej do poznańskiego, które już z położenia swego cieszyć się musi największym powodzeniem. He się z rocznika jego na rok bieżący pokazuje, liczy obecnie 344 członków, pomiędzy którymi jest członków zamiejscowych 203, tak iż na zamieszkałych w Poznaniu przypada tylko 138. W liczbie tych ostatnich znajdują się wszystkie stany i warstwy społeczeństwa naszego, prócz włościan, z których się żaden dotąd na członka nie zgłosił. Towarzystwo to ma na celu, prócz zabaw i balów karnawałowych, także codzienne towarzyskie zebrania, osobliwie wieczorem; posiada czytelnia, wreszcie odbywają się tu wieczory muzyczne i literackie w czasie zimowym.

Balów, jak się już wyżej powiedziało, nie było w tym roku żadnych, ani w Poznaniu, ani na prowincyi, a ileśmy uważać mogli, nawet pomiędzy średnią klasą ludności polskiej w Poznaniu.

W czytelnii znajdujemy w tym roku: Bibliotekę warszawską, Kuryera i Gazetę warszawską, Gazetę polską, Czytelnia niedzielną, Tygodnik illustrowany, Dziennik polski we Lwowie wydawany, Pamiętnik religijno-moralny, Czas krakowski, Dziennik powszechny, Dziennik poznański, Gazetę w. ks. poznańskiego, Przegląd poznański, Tygodnik katolicki wydawany w Grodzisku, Nadwiślanina i Przyjaciela ludu wydawane w Chełmnie, Dziennik literacki lwowski, Gwiazdka cieszyńska, Dzwonek, Tygodnik poznański, Postęp wydawany w Wiedniu i Ruch literacki. Do tego świeżo przybyły jeszcze Niewiasta i Wieniec, a więc znajdujemy tu prawie wszystkie znaczniejsze pisma polskie, gdziekolwiekby wydawane. Z pism w innych językach, są w czytelnii cztery niemieckie, trzy francuzkie, pojedyncze numera gazet francuzkich, mieszczące w sobie artykuły o Polsce i wszelkie najnowsze broszury, osobliwie traktujące o sprawie naszej lub o ważniejszych sprawach europejskich. W roku upłynionym mieliśmy jeszcze w czytelnii z pism polskich: Kronikę i Ruch muzyczny, Przegląd powszechny i Głos wydawane we Lwowie, Kuryera wileńskiego, Ognisko i Dziennik urzędowy departamentu poznańskiego.

Wieczory muzyczne, czyli wspólne śpiewy amatorskie wraz z damami, przy towarzyszeniu fortepianu, rozpoczęły się w bieżącej porze zimowej d. 22 stycznia r. z. i odbywają się teraz regularnie w każdy czwartek wieczorem o godzinie siódmej. Przystęp tym tylko członkom jest dozwolony, którzy w śpiewie udział biorą. Wieczory literackie zapowiadały przy rozpoczynającej się zimie równie pomysłny jak w latach poprzednich wypadek; gdyż u nas nigdy nie brakuje pracujących, a więc był też zawsze przedmiot gotowy do odczytu na tygodniowych wieczorach kółka. Odczyty te rozpoczęły się w dniu 26 listopada r. z. Na dwóch pierwszych wieczorach słyszeliśmy sędziego Kazimira Jarochońskiego: Wyprawę do Wielkopolski Jana Grudzińskiego starosty rawskiego, stronnika Karola XII w r. 1712, którąście następnie w odcinku Gazety warszawskiej czytali, i drugi odczyt sędziego Studniarskiego: Wiadomość o Staszicu. Wkrótce jednak te odczyty wcale inny wzięły kierunek. Zaraz na początku zimy ogłosił także ks. Jan Kozmian

swe prelekcje historyi polskiej co srodę w pałacu Działyńskich, na korzyść ubogich wspieranych przez towarzystwo damskie św. Wincentego a Paulo, i prelekcje te rozpoczął od 11 grudnia r. z. Za tym przykładem poszli i ci, którzy swe odczyty miewać mieli w kółku towarzyskiem i ogłosili je znów na każdą sobotę, także w sali pałacu Działyńskich, na tenże sam dochód. Niema u nas uniwersytetu, o który posłowie nasi tylokrotnie w izbach berlińskich się dopominali; lecz, jak już wspomnieliśmy, nigdy nie brakowało na pracownikach i pragnących oświecenia, osobliwie gdy ono z celem dobroczynnym jest połączone. Już może przed laty około dwudziestu mieliśmy podobne odczyty prywatne, na wzór uniwersyteckich, a i tegorocznym nie brakuje nigdy na licznych słuchaczach. Obok więc przyjemnie i pożytecznie spędzonego czasu, niejedni grosz wpływa na korzyść ubogich, w chwili właśnie gdy liczba potrzebujących wsparcia w mieście, osobliwie pomiędzy ludnością polską, nader jest wielka. Kto nie miał koniecznego powodu zajrzenia w to bliżej, ten nie będzie miał ani wyobrażenia o niedostatku, chorobach, cierpieniach i nieszczęściach kryjących się w mieście po piwnicach i poddaszach, a bardziej jeszcze na przedmieściach. Brak coraz większy zarobku, coraz większy napływ Niemców z ubogiej klasy, lecz przedsięwziętych i po całym świecie wędrujących, a przez rząd popieraných, którzy i tak już szczupły zarobek krajowcom odbierają, wzrastająca z każdym rokiem w mieście drożyzna, przyczyniają się w zastraszający sposób do coraz większej biedy wyrobników tułtejszych, z dnia na dzień żyjących. Pora zimowa, ze wszystkimi towarzyszącymi jej następstwami i dolegliwościami, biędę tę zwykle bardziej jeszcze powiększa. W innych latach przynajmniej w czasie karnawału wpłynął dla ubogich dość obfity grosz z dawanych balów, koncertów i przedstawień dramatycznych amatorskich; tego roku zaś, gdy ustały zabawy, znikł też płynący ztąd zasilek. Postanowiono więc przez odczyty literackie ten ubytek wynagrodzić. Szlachetne to przedsięwzięcie tem więcej zasługiwało na uwagę, iż przedmioty czytających, same z siebie poważne, dokładne w obrobieniu i wykładzie, nie potrzebowały wcale uwzględnienia i pobłażania, z powodu miłosiernych swych celów. Młodzi nauczyciele i prawnicy polscy, pracownicy zarazem na polu naszych dziejów, literatury, w dziedzinie nauk lub sztuki, na prośby dam nie odmówili swego spółdziuła. Tak więc do skarby biędnych rzucali jedni swą naukę i zdolności, inni jako słuchacze swój pieniąż. Kolo towarzyskie utracilo wprawdzie w ten sposób na czas zimowy wieczory swe literackie, lecz zato odczyty przeniosły się tam, gdzie prawdziwą korzyść, nawet pieniężną, przynieść mogły. Ks. Kozmian, po odbyciu dwunastu takich prelekcji, zapowiedział też raz cztery jeszcze dodatkowe. Inni co sobotę, poczynszy od 11 stycznia r. b., mają także swe prelekcje aż dotąd. Bilety wnijsia na dwanaście takich prelekcji kosztują od jednej osoby 2, od familii zaś 3 talary, pojedynczy bilet na jedną prelekcją od osoby 2 złote.

Powiemy najprzód o ks. Kozmianie. Wziął on sobie za zadanie, dać obraz panowania Jagiellonów, tej najświetniejszej epoki dziejów polskich. W pierwszej zaś czyli wstępnej prelekcji, która blisko półtoręj godziny trwała, rzucił treściwy i jasny pogląd na pierwiastkowe dzieje polskie i ducha narodowego, co się w nich od zawiązku chrześcijaństwa rozwijał i wzmaęał, wreszcie na dzieje Piastów i założenie monarchii polskiej, a skończył na królowej Jadwidze. Nie byliśmy wprawdzie obecni na tej pierwszej prelekcji, lecz słyszeliśmy powtarzane liczne o niej pochwały i czytali takowe w tutejszym Dzienniku i Tygodniku. W tym zaraz wstępnym odczycie prelegent nie tylko zainteresował dość licznie zebraną publiczność, ale nawet świetnie dopełnił swego zadania. Mówił z pamięci, bez żadnej notatki, a mówił gładko jak kaznodzieja, dobranemi wyrazami, nie szukając nigdy ani chwili jakby myśl złożyć, jak ją rozwiązać, lub dobitniej objaśniający wyraz dorzucić. Uznawali słuchacze, iż gdyby był swą pierwszą prelekcją spisał i przeczytał, nie mógłby ani jej lepiej streścić, ani myśli w dobrszych oddać wyrazach. Przymtem panować miała w jego słowach spokojność, bezstronność w ocenieniu rzeczy i wytrwałość sądu w zapatrywaniu się na wypadki dziejowe, obok powagi i pewnej uroczystości w opowiadaniu. Umiał podobno nawet wnieść się do godności historyka i zająć stanowisko wyższe nad wszelkie chwilowe interesy, koterye i opinie stronnictw czasowych, o co się bardzo w wystąpieniu jego lękano. Nowego widzenia rzeczy nie rozwinał wprawdzie, lecz poszedł najwłaściwszą drogą, to jest za tekstem źródeł kro-

nikarskich, wiele zaś obudził ciekawości szczegółami odnoszącymi się do historii ówczesnej Wielkopolski. Jak już wyżej wspomniałem, nie wysłuchawszy sam tej pierwszej prelekcji, nie jestem w stanie ocenić, o ile sąd innych jest usprawiedliwiony. Nie myślę też brać pod rozbiór krytyczny wszystkich prelekcji, lecz rozpatrzywszy się dokładnie w kilku tylko, doszedłem do przekonania, iż prelegent odejść musiał następnie od pierwiastkowego swego założenia i stanowiska, jak to poniżej w kilku uwagach wykażę.

W trzech następnych odczytach mówił o kłopotliwych rządach Władysława Jagiełły, skreślając obok tego pobieżnie współczesne wypadki europejskie, poljawy społeczeńskiego rozwoju w Polsce i stan oświaty, a w przydłuższym nieco wykładzie dał obraz ówczesnego stanu duchowieństwa i kościoła w Polsce.

Piąty odczyt poświęcił Władysławowi Warnieńczykowi i wspomnieniu o bohaterskiej jego śmierci pod Warną. Tu już musimy zrobić uwagę, że prelegent podjął nader trudne zadanie oczyszczenia Władysława z zarzutu niedotrzymanej przysięgi, starając się dowieść, że Władysław nie przysięgał wcale, tylko Hunyad; dlatego też usiłował wykazać, iż ani w sądach nieskazitelnych ówczesnych ludzi, ani w kronikach, nie można dopatrzeć zarzutu krzywoprzysięstwa przeciw królowi; że nawet Kodża-Effendi, współczesny kronikarz turecki, nie obwinia o to Władysława. Tyle co do powagi historycznej; w zasadzie zaś utrzymywał ks. Kozmian, że każda przysięga ma warunki, które tutaj nie zostały dotrzymane, gdyż Władysław był w przymierzu z chrześcijańskimi mocarstwami, a więc nie miał nawet prawa osobnego zawierania pokoju, którego zresztą sami Turcy nie dochowali. Ztąd też wyregrował wniosek, że zarzut krzywoprzysięstwa dał się dopiero wtedy po raz pierwszy słyszeć, gdy o naturze i istocie przysięgi powzięto całkiem inne wyobrażenie.

Gdybyśmy pisali rozprawę historyczną, moglibyśmy przytoczyć wiele wiarogodnych źródeł i dowodów całkiem przeciwnych; ograniczyć się jednak chcemy na dwóch współczesnych i prelegentowi dobrze znanych historykach, to jest na Długoszu i Grzegorz z Sanoka (w Pomnikach Wiśniewskiego t. IV). Pierwszy (t. I 798 B) mówi, że król potoki łez wylewał, iż wbrew wykonanej przysiędze, zniewolony był rozpoczynać nową wojnę z Turkami, którzy ze swęj strony wszelkie warunki zaprzysiężonego pokoju dopełnili. I Długosz wcale się łzom królewskim nie dziwi. Gdy zaś Julian kardynał wymownego Grzegorza z Sanoka chciał użyć na przerobienie króla, a mianowicie aby mu wykazał że skoro chodzi o kościół, w każdym razie z poganami zerwać można, czynił mu obietnice, potem groził karą kościelną i więzieniem; lecz Grzegorz, jakkolwiek człowiek przywiązany tylko do sprawy chrześcijaństwa, a nie do swęj ojczyzny i Polaków, z którymi nawet obcowanie było mu niemiłe, jednakże sądził że raz wykonana przysięga, zawsze święta pozostaje winna. Z tego ks. Kozmian mógł się przekonać, iż w owych także czasach ludzie nawet tak uczeni jak Grzegorz z Sanoka, mieli równe jak my dzisiaj wyobrażenie o znaczeniu i świętości przysięgi. Tak więc Julian kardynał musiał dopiero wyrzec: iż władza naczelną kościoła ma prawo zwalniać przysięgi Turkom wykonane ogłasza za zniesione i niebyłe i udziela od nich rozgrzeszenie. Rozgrzeszył kardynał w imię i w interesie kościoła, ale nie rozgrzeszył Bóg krzywoprzysięstwa i ukarał je straszną klęską pod Warną. Cztery wprawdzie już wieki przeminięły od tego dnia okropnego, znaczenie jego przecież pozostanie ważnym w dziejach naszych nazawsze. Dlatego sądzimy być obowiązkiem ks. Kozmiana, jeżeli oparty na nowych świadectwach dziejowych i pojęciach zasadniczych, przyszedł do gruntownie uмотywowanego a całkiem różnego przekonania w tym względzie, aby dorzucił ten ważny przyczynek do wyjaśnienia dziejów naszych; inaczej posadziłby go można o wychodzenie z tej zasady, że cel uswięca środki, a więc że tendencyjnie wykrzywił historią.

W dalszém opowiadaniu widzimy tylko treściwe obrazy panowania Jagiellonów, bez głębszego jednak wnikiwania w rzecz i nowego poglądu na przedmiot. W panowaniu pierwszego z Jagiellonów wziął sobie prelegent za zadanie, przedstawić charakter Zbigniewa Oleśnickiego, jako głównego działacza, około którego wówczas niemal wszystko w dziejach narodowych się obracało. W panowaniu Kazimierza Jagiellończyka najdłuższą się zatrzymał przy opowiadaniu wojny z Krzyżakami i unii Prus z Polską. Bo też to było rzeczywiście najważniejszą częścią panowania tego króla. Skreśliwszy wreszcie śmierć jego w obrazie charakterystycznym, w końcu dziesiątej prelekcji twierdzi, iż uderza to bardzo, że kiedy w całej Europie

podówczas dążono do zesrodkowania i wzmocnienia władzy królewskiej, w Polsce tylko ta władza coraz bardziej słabła, i gdy gdzieindziej starano się o to, aby nie na zawadzie woli królewskiej nie stało, u nas właśnie w tym czasie królowie tracili istotny kierunek rzeczy publicznej. Gdyby ks. Kozmian był dojrzał rządy republikański, jako rzeczywisty pierwiastek w dziejach polskich po wszystkie wieki walczący i rozwijający się, byłby może przyszedł do innego całkiem zapatrywania się.

Musieliśmy obszerniej pomówić o prelekcjach ks. Kozmiana, jako najważniejszych pomiędzy terazniejszymi odczytami poznańskimi. Obecnie dodajemy jeszcze, że niektóre z tych odczytów wyszły z druku, na korzyść tutejszego towarzystwa czeladzi katolickiej, lecz nie wydane przez autora, tylko przez inną osobę, spisującą opowiadania prelegenta. Można by więc przypuścić że to wydanie niedokładnym jest powtórzeniem słów wymówionych, bo trudno podać piórem za słowami mowy; chyba że druk odbywa się z wola prelegenta, a może i pod jego zwierchnym kierunkiem.

W końcu nadmienić jeszcze powinniśmy, iż rada szkolna zaleciła dyrektorom tutejszych wyższych zakładów naukowych, ażeby odradzali podległym zwierzchności swęj uczniom uczęszczanie na te wykłady historyi polskiej i zarazem nakazała, ażeby uczniowie którzyby się nie stosowali do tej przestrogi, imiennie podawać radzie szkolnej; taka zaś przestroga równa się prawie zakazowi. Zakaz ten tém bardziej zadziwiać musi, gdy wydany został wtenczas, kiedy prelegent opowiadał o czasach od nas jeszcze bardzo odległych.

Obok tych prelekcji ks. Kozmiana, jak już wyżej powiedziano, odbywają się co sobotę odczyty przez różne osoby i w różnych przedmiotach. Nie widzimy potrzeby zastanawiania się osobno nad każdym z tych odczytów, tém bardziej gdy podobno niektóre z nich drukiem ogłoszone będą. Wymienimy jednak ich treść, aby dać obraz całości. Najprzód dwie sobotnie prelekcje w pałacu Działyńskich miał nauczyciel gimnazjum dr. Wituski. W pierwszej mówił o elektryczności w ogóle, mianowicie zaś o elektryczności powietrzkowej, objawiającej się w błyskawicach, grzmotach, piorunach, i dodał do tego wiadomość o konduktorach Franklina. Zajmujący ten przedmiot przedstawił wykładający gruntownie, a znane już z nauki fizycznej prawdy, urozmaicił mnóstwem nowych i ciekawych spostrzeżeń. Drugą równie zajmującą prelekcją miał o balonach, przy czém wyliczył dziesięć czysto naukowych podróży nadpowietrznych, z których ostatnia była pp. Baral i Bixio w r. 1850. Z ciekawych odkryć poczynionych przez nadpowietrznych żeglarzy, wymienił najważniejsze, jak np. że pomimo odmiennych spostrzeżeń niektórych fizyków, siła magnetyczna ziemi aż do wysokości 4000 metrów jest ta sama co nad samą jej powierzchnią; że temperatura z oddaniem od ziemi nadzwyczaj się zmienia i gdy na ziemi wskazywał termometr + 21,8° R., w wysokości 5947 metrów spadł do — 13,2°. Różne zwierzątka zabrane do łódki, w wysokości 2822 metrów nie zdawały się doznawać dolegliwości; gołąb zaś, wyrzucony w wysokości 3400 metrów, nie mógł skrzydeł rozpostrześć, leciał ku dółowi z szybkością kuli, i znikł szybko w obłokach pod balonem. Dowiedzieliśmy się także, iż największa wysokość do której się dotychczas wzniesiono, wynosi przeszło 7000 metrów, a więc blisko jedną milę.

Po nim przeczytał nauczyciel gimnazjalny Węclewski bardzo ciekawą rzecz o stanowisku kobiet u Rzymian, biorąc szczególę do swęgo zajmującego obrazu z życia rodziny senatora rzymskiego.

Sędzia Jarochoński czytał dalej ustęp z historyi pierwszej wojny szwedzkiej za Karola Gustawa, ograniczając się głównie na wypadkach tej wojny zasłych w Wielkopolsce. Tak opowiedział szczególę nieszcześnej kapitulacji Wielkopolan w r. 1655 pod Ujściem, opisując gwałty jakich Szwedzi dopuszczali się w Poznaniu i po kraju, do których się potem i wojska brandeburskie przyłożyły. Wreszcie przedstawił politykę ówczesną nieprzyjaciół w obec szlachty, duchowieństwa i chłopów; nakoniec powstanie wielkopolskie w r. 1656 i 1657 i odzyskanie Poznania na Brandeburczykach d. 29 sierpnia 1657 r. Praca ta tém jest ważniejszą i ciekawszą, iż opiera się głównie na autentycznych i niedrukowanych dotąd materiałach, wyjętych z archiwum grodzkiego poznańskiego i z rękopisu kroniki klasztoru panien benedyktynek, dawniej w Poznaniu będącego.

Nauczyciel gimnazjalny i zarazem archiwista dawnych akt grodzkich Przyborowski, zbierając z tychże akt wiadomość o życiu i rodzinie Kaspra Miaskowskiego, znanego poety za Zygmunta Augusta, zebrał dokładną wiadomość genealogiczno-biograficzną o ro-

dzinie Miaskowskich, którą odczytał w następnej prelekcji i przytęm przedstawił zajmujący obraz społeczeństwa naszego w prywatnym życiu z 16 wieku.

Nakoniec syndyk konsystorski Wegner czytał w dwóch prelekcjach o sejmie grodzieńskim r. 1793.

Ażeby zaś bardziej jeszcze dochód dla biednych przez towarzystwo św. Wincentego a Paulo wspieranych pomnożyć, urządziły nasze damy, tak samo jak w poprzednich latach, na sali pałacu Działyńskich w dniach 3, 4 i 5 marca od godziny 6 wieczorem, sprzedaż najrozmaitszych przedmiotów, które dobroczynne osoby, osobiwie kobiety, w wielkiej ilości i z najwytworniejszym doбором zgromadziły. W urządzonych na ten cel sklepikach, w dniach powyższych zasiadły damy, a przed niemi wystawione były na sprzedaż: ryciny, obrazy, rozmaite sprzęty kościelne i domowe, niewieście ubrania i stroje, odzież gotowa dla ubogich, pudełka, zabawki dla dzieci, przedmioty piśmienne lub do gotowni służące, wreszcie kosztowności i wiele innych. Aby zaś uniknąć zarzutu drogocności i wiele innych. Aby zaś uniknąć zarzutu drogocności, który często przy podobnych sprzedażach czyniony bywa, położono przy każdym przedmiocie ceny ściśle do jego wartości zastosowane, a przy tak wielkiej różnorodności, nawet za szczupły pieniąż coś zawsze nabyć było można. Nie wiemy wprawdzie ile ta sprzedaż przyniosła dochodu, nie wątpimy przecież że wpłynął z niej grosz obfity.

Otóż tak spędziliśmy tegoroczny karnawał. Jeśli przytęm wspomnimy o tygodniowych odczytach, odbywanych w różnych innych towarzystwach, jak: przyjaciel nauk, przemysłowóm i czeladzi katolickiej, ujrzemy że Poznań przybrał obecnie postać poważną i przynajmniej napozór uczoną.

Kraków d. 26 Marca 1862 r.

Czas kilkotygodniowy końca karnawału i początku postu upłynął cicho i poważnie; przerywały go tylko koncerty amatorskie, a obecnie wystawa malarska. Koncertów było dwa na korzyść ubogiej młodzieży akademickiej, których urządzenia równie jak wykonania po większej części podjęła się taż młodzież. Ponieważ równocześnie odbywały się posiedzenia Tow. rolniczego, zatem i cel nader świetnie osiągnięty został, bo powiększył znacznie fundusze towarzystwa bratniej pomocy. Trzeba jednakże przyznać, że chociaż sami amatorowie udział brali, jednakże słuchacze podziwiali w niektórych prawdziwych artystów; tak np. pan Józef Dulemba jako fortepianista nieposlednie miejsce zajmie kiedyś w gronie naszych artystów muzycznych: Chopin, Thalberg, Hummel, Józef Lubowski wyborowego mieli w nim tłumacza. Publiczność też, tak niespodziewanie (bo p. Dulemba mało dotychczas był znany) zachwycona, wynagrodziła go huczniemi i częstemi oklaskami. Tutaj nadmienić muszę, iż korzyści materyalne i moralne wypływające z zawiązania takiego towarzystwa, zachęciły powinny do tworzenia podobnych i po innych uniwersytetach; ofiarowaniem bowiem bratniego zasiłku w sposób nieobrazający w niczém delikatnego uczucia, wzbudzić koniecznie musi wzajemną koleżeńską miłość i zapal do pracy. Wystawa malarska tego miesiąca otwarta, liczniejza pod względem ilości niż przeszłego roku, wzbudza jednak zajęcie dotychczas kilkoma tylko obrazami. Najznakomitszym niezawodnie jest *Barbara Radziwiłłówna* J. Simmlera, króży z nacie oddawna, więc opisując go wam nie potrzebuję.

Drugim wielkim historycznym obrazem jest: *Jan Kazimierz na Bielanych, podczas pożaru Krakowa za wojen szwedzkich*, p. Jana Matejki. O wartości jego później może powiem obszerniej; dziś tyle tylko o kompozycji nadmieniam, że ów moment historyczny niedosyć się jasno tutaj przedstawia, potrzeba go dopiero z podpisu wyczytać, do czego przyczynia się zbyt mała i niewydatna odległość krajobrazu od króla i grupy osób go otaczających. Koloryt jednak świetny i oryginalny, właściwy znakomitemu p. Matejki talentowi, niedostatek ten wynagradza. Löfler Leopold przesłał z Wiednia dwa obrazki rodzajowe, humorystyczne, odznaczające się prawdą, lecz niestety, obce. Piotrowskiego *Pacierz przed śniadaniem*, monotonością scen, nawet twarzy osób, przypomina dawniejsze jego mniejsze obrazki. P. Eliasza *Floryan Szary po bitwie pod Płowcami r. 1331* „tkający w się jęlitą“ (wyrażenie Bielskiego) zbyt razi realizmem tylko tej bolesnej operacji. Piękny jest jeszcze portret posła Smolki przez Löflera i portrety pani Stein, nasładowane Van-Dycka. O innych dzisiaj jeszcze nie wspominać, zrobić jednak muszę uwagę, że dotychczas więcej jest dzieł malarzy niemieckich, aniżeli naszych.

Mówiąc o sztukach pięknych, nie mogę pominąć pracowni rzeźbiarskiej p. Filippiego. Jest tam kobi-

ta modląca się na klęczkach, osłonięta fałdującą się oponą. Tyle w niej piękna, tyle natchnienia w wzniesionej ku niebu twarzy, iż zapomina się o martwości oczu, będących przecie, jak mówią, zwierciadłem duszy. P. Filipi ma sobie polecenie od tow. naukowego, oceniającego jego talent i pracę, zdjęcie odlewów ze wszystkich królów znajdujących się na pomnikach w katedrze. Dotychczas wykonał już: Władysława Łokietka, Kazimirza Wielkiego, Władysława Jagiełłę, Kazimirza Jagiellończyka i Annę Jagiellonkę, do zrobienia zaś pozostają jeszcze: Zygmunt August, Zygmunt Stary, Stefan Batory i Jan Olbracht.

Z nowości literackich pokrótce tylko kilka wymienię. Zapewne już wiecie o wydaniu „Kroniki polskiej Kadłubka“ przez Aleks. Przeździeckiego; przekład wyborny uskutecznił pp. Józefczyk i Studziński; wydanie bardzo piękne. Inną nowością jest zeszyt drugi tomu pierwszego Dziejów Polski J. Szajskiego. Zawiera 6 arkuszy druku i 10 tablic chronologicznych, dociągnięty, jakśmy już rzekli, do chrztu, ślubu i koronacji Wł. Jagiełły (1386). Wyszło też osobno odbicie z dziennika Niewiasty poematu historycznego „W jassyrze“ J. K. Turskiego. Treść do tego utworu wzięta z historycznych szkiców Szajskiego, mianowicie z opowiadania o jassyrze Stanisława Koniecpolskiego hetmana polnego koronnego. Nie wdając się bliżej w rozbiór wartości poematu, wspomniamy tylko iż jest tam wiele miejsc nacechowanych prawdziwym uczuciem. Pan Jakubowski, autor wielu jakoś niebardzo znanych tragedij, znów obdarował literaturę „Samuelem Zborowskim“, tragedją w pięciu aktach z prologiem, z dziejów polskich oryginalnie wiérsem napisaną, nakładem autora; ale niestety! dodać musimy: szkoda czasu i welinu. Nareszcie jako *curiosum* literackie daję wam wiadomość o następnym płodzie: „Śpiew wiosenny dla małych dzieci, który podczas majówki służyć może“, przez F. L. 1862.

Unosząc się nad wiosną, tak poeta (!) mówi:

Wszystko się raduje,  
Krówka na oborze,  
Owca podskakuje,  
I co które może.  
Jaskółka, choć leci,  
Śpiewać ją słyszymy;  
My zaś większe dzieci,  
Więcej potrafimy.  
Wszak małe dzieci  
Także już śpiewają,  
Przy piersi maminy  
Głosy swe wydają.

Podnosimy rzecz tę dlatego, że zdaje się ona być przeznaczoną dla użytku szkolnej dziatwy do śpiewu, na czémby smak estetyczny niekoniecznie skorzystał.

Z Kurlandji, w marcu 1862 r.

Z różnych stron zdarzało mi się spotkać w Tygodniku Ilustrowanym korespondencje—tylko o Kurlandji nigdy jeszcze wzmianki nie było; brak przeto ten zapełnić, uważam za swój obowiązek.

Głównymi mieszkańcami Kurlandji są Niemcy i Łotysze. Z tych pierwsi, po największej części szlachta, stanowią klasę wyższą, drudzy zaś są to wieśniacy, trudniący się rolnictwem, przemysłem, handlem, a wielu z takich przemysłowców zbiera ogromne fortuny i kupuje majątki. W tak zwaną Unterlandję (Kurlandję niższą) bliżej ku Mitawie, Łotysze są po większej części luteranami, i z tych to tworzą się owi przemysłowcy; w Oberlandji zaś (Kurlandję wyższą) więcej ku południowi, między włościanami znaczna jest większość katolików. Tu także mnóstwo jest szlachty zagrodowej polskiej, wcale dobrze się mającej, a między włościanami bardzo dużo Litwinów tamże osiadłych, czasem nawet całe gminy z nich się składają. Ci zachowują i tu swój język, ale to tylko między sobą w chatach. Pospolicie mówią po białorusku, modlą się zaś po polsku i nawet do modlitwy nie lubią używać innego języka, mówiąc niabyto żartem, że inaczej Pan Bóg ich nie zrozumie. Łotysze przeciwnie mają książki do nabożeństwa po łotewsku i modlą się i śpiewają w swoim języku, ale i po polsku mówią wcale niezłe prawie wszyscy katolicy, luteranie zaś zamiast polskiego, uczą się niemieckiego języka. Ci Łotysze ziemczeli, jest to najnieznośniejszy naród jaki tylko wystawić sobie można: najprzód, nie mają żadnego poczucia narodowości, a potem tak przesiąkli egoizmem, że nawet pojąć nie mogą znaczenia wyrazów: ofiara, poświęcenie, zaparcie się siebie. Własne ich powodzenie, dobry byt mate-

ryalny—to ich ideał; gdzie im się dobrze powodzi—tam ich ojczyzna. Od takich idei i przekonań ani wychowanie, ani wyższy stopień w społeczeństwie nie są zdolne ich odwieść; przynajmniej mnie nie zdarzyło się jeszcze spotkać choćby najbardziej wykształconego Łotysza, któryby zamarzył o czémś szczytniejszém i więcej przemawiającém do duszy, jak świetny urodzaj kartofli, dobry zbiór pszenicy i lnu jaknajwięcej na sprzedaż; a jeszcze kiedy ma kubek dobrej kawy i krótką fajeczkę w ustach—to już szczyt szczęścia! Kpi sobie wtenczas z tych wszystkich, co gonią za czémś inném, co tęsknią do czegoś innego, co posiadając owo szczęście materyalne, gotowi je poświęcić dla dobra ogółu,—to przechodzi pojęcie ziemczatego Łotysza. W Łotyszach—katolikach, choć może mniej naukowo oświeconych, uczucia daleko więcej są wykształcone; poprzestają oni na mniejszém, nigdy prawie nie wychodzą ze swego stanu, są bardzo pracowici, szczególniejsi kobiety, nabożni, uczynni dla biédniejszych, i choć, jak wszyscy chłopci, są trochę niedowierzający i skryci, ale religją wszystko z nimi zrobić można, a dla duchownych mają uszanowanie, ufność, wiarę, nawet miłość. Dowodem tego jest towarzystwo trzeźwości, do którego bardzo wielu się zapisało, pomimo ogromnych pokus. Obywatele Niemcy, pędząc wódkę, nie mają żadnego skrupułu starać się o wyprzedanie jej jaknajwięcej; jednak słowa gorliwych kapłanów dokazały tego, że lud nasz poczciwy zwycięża pokusy i ucieka od karczmy jak od zarazy. Za to rzucili się pilnie do nauki czytania i pisanania w niedziele i święta.

Tyle o moralném usposobieniu Kurlandczyków—teraz zaś muszę coś powiedzieć o ich życiu zewnętrzném. O urządzeniu, ustawach, porządku prowincji i postępie praktycznym cywilizacji pod każdym względem, tylko korzystnie wyrazić się można.—Nadzwyczajna akuratność i sumiennosc w urzędach i sądach, przekupstwa nigdy żadnego, bo wszyscy urzędnicy wybierani są z obywateli na tak nazwanych konwocjach, które bywają dosyć częste, według zdarzającej się potrzeby. Oprócz przy wyborach urzędników, konwocacje powiatowe bywają też zwoływane w celu naradzenia się nad jakim projektem podanym przez rząd albo przez którego z obywateli, lub nad jakim ulepszeniem dobro ogólnie prowincji czy jednego powiatu mającém na celu. Na tych zjazdach nie może znajdować się nikt prócz szlachty kurlandzkiej (indigenów), którzy noszą także nazwę rycerzy, jako pochodzący po większej części od kawalerów Mieczowych. Do tej szlachty-rycerzy należy i kilka rodzin polskich, które postarały się o indygenat nie dla honoru posiadania kurlandzkiego szlachectwa, ale dlatego, żeby być pewnemi swoich majątków; bo nie będąc indygenem, nie można być właścicielem ziemskim, tylko zastawnikiem (Pfundbesitzer) na lat 40, po upływie których właściciel dawniejszy albo ktoś z jego rodziny ma prawo, spłaciwszy zastawnika, wyprosić go z majątku, nie pytając czy chce, czy nie chce. W Mitawie jest komitet ciągly, trudniący się interesami prowincji, złożony z obywateli (Ritterschafts-Comité). W ważnych razach bywają zwoływane sejmy na wzór dawnych polskich, na które z każdego powiatu zjeżdżają deputowani. Kurlandja ma swoje Towarzystwo kredytowe, Towarzystwo rolnicze, i teraz jest już projekt założenia domu zleceń, na wzór Domu rolników plockich.—Rolnictwo też tutaj dosyć wysoko stoi, mnóstwo machin, nawet bardzo kosztownych, pokazało się już w naszych stronach, a rośliny pastewne, sztuczne nawozy i t. p. są od lat kilku w używaniu; włościanie tylko najzupełniej są przeciwni wszystkiemu tym nowościom.

Dziwny doprawdy ten wstręt do nowości w naszych chłopach! Niektórzy nazywają to chwalebny przywiązaniem do zwyczajów ojców—jednak takie chińskie wycofywanie się z ogólnego popędu jest podług mnie godnym nagany, bo to widoczny skutek ciemnoty, połączonej z uporem. Chłopi w Kurlandji są już od 1817 roku wolni osobiscie—ziemi własnej nie mają, trzymają więc ją czynszem, albo za pańszczyznę od obywateli, ale mogą i nabywać majątki jako zastawnicy. (\*) W ogóle włościanie mają się tu bardzo dobrze, szczególniejsi w Kurlandji północnej, gdzie w chatach dosyć często spotkać się można z kanapą, firankami, a nawet i fortepianem. Synów wielu oddaje do szkół i do uniwersytetów. Dorpat w znacznej części jest zapełniony synami włościan i mieszczan, którzy często bardzo świetnie kończą nauki. Włościanie mniej zamożni w południowej

(\*) Teraz właśnie jest sejm w Mitawie, na którym obywatele myślą nadać włościanom prawo nabywania majątków na własność.

Kurlandji posyłają swe dzieci do szkółek parafialnych, albo sami uczą je w domu czytać, pisać i religij—tak iż teraz niewielka już liczba, i to najwięcej ludzi starych, nie umie czytać. Jednak do oświaty i u nas jeszcze daleko bardzo—daleko do tej moralności, do tego wykształcenia, do tej wiary i ufności, jakiej nam potrzeba i o jaką starać się powinniśmy. Mamy wszakże nadzieję w Bogu, że i u nas i w całym naszym kraju, z czasem, przy pracy, staraniu i wytrwałości, pożądane światło zabłyśnie.

## PORANEK.

Za Wisłą w dali jutrenka gaśnie,  
Złoto i srebro barwią niebiosą,  
Na taśmach trawy ranna drzy rosa,  
Ptastwo się budzi hucznie, hałaśnie,  
Skowronek ranne modły zawodzi...  
Cienie znikają... i słońce wschodzi.

Okno otwarte... z mojej komnaty,  
Przez drzew i krzewin zielone kraty,  
Srebrzy się Wisła, a za nią w dali  
Piaski się bielą... i dymią chaty;  
Samotna topol wiatrom się żali,  
W krzaczku pod oknem słowik mi śpiewa,  
Nad kwiatem z cicha pszczoła zabrzęczy—  
Pewnie przy pracy modły odbywa,  
Bo na też nutę i dzwon gdzieś jęczy.

O! uroczysta, o! piękna i wielka  
Sukienko boża—cudowna natura!  
Ty, wzniosłych myśli i serc rodzicielka,  
Tchnieniem mię swoim owieję dookoła,  
Bym w tém objęciu rozpląnął się chmura,  
Weisnął się życiem do dziwów twych kół.  
Ty jesteś dla mnie modlitwą księga,  
Bożym ołtarzem, u stóp którego,  
Tobą przejęty—widzę blask Boga!  
Gdy do upadłych zejść nizkością,  
Kiedy od grzechu duch zaboleje,  
Ty to mnie wzanosisz swoją wielkością,  
Tchniesz we mnie miłość, wiarę, nadzieję,  
I—godniej idzie żywota droga.

Zygmunt R.

## ROZMAITOŚCI.

Rząd cesarza Napoleona I wyznaczył nagrody za najlepsze dzieła jakie w każdym dziesięcioleciu ukazały się we Francji w rozmaitych gałęziach nauki i literatury. Na pierwszjej kadencji uczonego jury, która przypadała w r. 1810, przyznano nagrodę w dziele historycznym dzieła Rulhières'a p. t. *Dzieje nierządu w Polsce* (Histoire de l'anarchie de Pologne), którego autor już podówczas nie żył, kilku innym przyznając zaszczytne wzmianki i na czele kładąc Sismondego: *Dzieje rzeszypospolitych włoskich*. Sismond, wówczas jeszcze nowicjusz w świecie naukowym, ucieszył się niezmiernie z tego zaszczytu i pisząc o tém do krewnych, zamieszkałych we Florencji, wzmiankuje razem o dziele uwiecznioném w słowach następujących:

„W pracy Rulhières'a jest może za wiele dowcipu, w każdym razie więcej niż przypada do rodzaju historycznego; może wstęp ciągnie się zbyt długo, nim się interes rozbudzi, a nie objaśnia jednak rzeczy dostatecznie; może zbyt czysta jego stronność jest niezręczną i niesłuszną, bo czytelnik widzi wciąż namiętnosc, nie mogąc doczekać się jej usprawiedliwienia. To też, zamiast iść za uczuciem autora, strzeże się owszem, iżby ten go bezzasadnie nie pociągnął; ale siła talentu, a raczej geniuszu, przemaga nareszcie, i czytający oprócz mu się nie może. Jakieś czysto romansowe zajęcie, interes tak żywy, że zaledwie najpoetyczniejsza fikcja mogłaby podobny mu obudzić, miesza się tu z istotnym interesem historycznym ogarnia cię mimowolnie, tak iż czytając tom drugi i trzeci, nie możesz się od książki oderwać. Cierpkosc charakteru i dowcipna gorycz autora, która nadaje żywość całemu kolorytowi i jedrność każdemu słowu, sprawia wrażenie tém głębsze i tém dziwniejsze, iż w ogóle przymiot ten, właściwy ludziom suchym i szyderym, niszczy zapał u samego źródła; a tymczasem historia Polski jest tak rycerska, naród polski i jego naczelni mężowie przedstawieni są w barwach tak bohaterkich, że serce nieustannie doznaje najszlachetniejszych wzruszeń. Rulhières okazał przywilej geniuszu; połączył on przymioty, które się zazwyczaj wyłączają wzajem i neutralizują, przymiot zimnego umysłu i serca pełnego uniesień.“